Rok założenia 1933

Kamena

LUBLIN 29.III.1970 Nr 7 (440) DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY CENA 2 ZŁ

Fot. Z. Wdowiński

Sąd nie chodzi wieczorami do „Lublinianki"

Rozwody raz jeszcze

Jerzy Dostatni

NA drzwiach stereotypowy napis: Sala rozpraw Sądu Powiatowego w Lublinie. Wewnątrz surowo i ponuro: dwa okna, dwa stoły na podwyższeniu, niżej kilka prostych ławek, bardzo niewygodnych do siedzenia. Sędzia w średnim wieku z nieco znudzonym obliczem. Po jego prawej stronie protokolantka. Ładna, zgrabna, w spódniczce mini-mini. Nawet powaga sądu nie przedłuża jej do połowy ud. Myślę, że dziewczę nie zawsze notuje zbyt ściśle. Tu przecież toczą się sprawy rozwodowe, nieraz padają słowa brutalne, ohydne, rynsztokowe. Przysłuchiwałem się ośmiu sprawom. Tylko jedna odbyła się kulturalnie. W pozostałych sędzia często przerywa, ale z reguły zbyt późno.

Sprawa pierwsza

ON: — Mogę płacić na dziecko po 300 zł miesięcznie, ale nie po 500 zł. Pokłóciłem się z kierownikiem i teraz nie pracuję, utrzymuje mnie brat. A tu, proszę, zaświadczenie od sołtysa, że nie jestem alkoholikiem.

ONA: — Pije, kochany Sądzie, wczoraj po pijanemu to mnie nawet kopnął. Meble sprzedał na wódkę. Pracę rzucił celowo, aby nie płacić alimentów, zarabiał 1800 zł, teraz więcej, tylko na boku.

ŚWIADEK KOBIETA: — Tydzień temu teściowa wyrzuciła ją na ulicę razem z dzieckiem. Teraz mieszka u mnie. A dziecko to ciągle woła, żeby zamknąć drzwi, bo przyjdzie ojciec i zabierze.

Dokończenie na str. 7

W czym największy jest ambaras?

O powiatowych domach kultury — dyskusyjnie

Barbara Parobczak

DOMY kultury i placówki kulturalne nie są wielkimi przedsiębiorstwami lub instytucjami, w których porozumienie między ludźmi mogłoby być z tego względu utrudnione, nie nastręczają gróźb bankructwa ekonomicznego, nie muszą miewać wskaźników produkcyjnych (choć często mają). Dysponują swoim budżetem, który zapewnia im pomyślną egzystencję, radą społeczną, która pomaga im umiejętnie ukierunkować działanie. Są komisje oświaty i kultury przy PRN, działacze społeczni, zakłady pracy partycypujące w kosztach utrzymania, wreszcie władze nadrzędne baczące pilnie, czy linie nakreślone przez nie przebiegają prawidłowo. W tych warunkach zatrudniając od 1 do 20 osób PDK powinny pracować pomyślnie. A jednak ciągle ktoś jest niezadowolony. Niektórzy twierdzą, że „w kulturze", znaczy w domach kultury, nic się nie robi. Władze miejscowe często podzielają te opinie. „Do was nie przychodzi miejscowa inteligencja — niedobrze". „U was brak robotników — niedobrze".

Ten ma lokal jak pałac, ale za to nie ma kadry, tamten ma kadrę, ale nie ma lokalu. A jak jest lokal i kadra, to zaczynają się spory — jak pracować: środowisko i teren, czy tylko teren, masowość czy ekskluzywność, książka czy film, specjalizacja czy „do wszystkiego"? I tak idziemy z postępem: dwa kroki do tyłu — jeden w przód...

Warunkiem dobrego zarządzania i gospodarowania jest wytyczenie sobie celu. Ministerstwo Kultury i Sztuki te cele postawiło wydając 2 000 egzemplarzy „Kierunków i zadań w dziedzinie upowszechniania kultury na rok 1969/70". Czytamy tam z ciekawością na str. 7: „rozwój sieci i umacnianie wiejskich placówek kulturalno-oświatowych", albo na str. 8: „współdziałanie placówek kulturalno-oświatowych ze społecznym ruchem kulturalnym", „kształcenie i doskonalenie kadry ruchu kulturalno-oświatowego" itp., itd. Każdego roku to samo...

Aby domy kultury różniły się między sobą, jak Lublin różni się od Katowic, muszą posiadać swoje, z określonych warunków wynikłe, cele. Ruch amatorski Lubelszczyzny liczy około 760 zespołów teatralnych, a tenże ruch w koszalińskim np.? Lubelskie posiada bogate tradycje autentycznej sztuki i twórczości ludowej, które należy pielęgnować i rozwijać — czy takie samo zadanie ma np. województwo szczecińskie? Kto te cele powiatowym domom kultury uzmysłowił? Czy mają realne warunki na to, aby je realizować?

Wszystkim, którzy jeszcze tego nie wiedzą, trzeba przypomnieć, że wiele centralnych i wojewódzkich instytucji i instancji kulturalnych i nie tylko — ma wobec powiatowych domów kultury swoje intencje. Związek Teatrów Amatorskich chce, żeby zrealizowano konkurs „Bliżej teatru", Pagart przysłał ciekawą imprezę, którą należy zorganizować, TPPR ma piosenkę radziecką, Centralna Poradnia Amatorskiego Ruchu Artystycznego chce się dowiedzieć, jakie ma powiatowy dom kultury wymiary i ilu zatrudnia ludzi, Wojewódzki Dom Kultury żąda sprawozdań i ma swoje pomysły, które ktoś musi realizować, Estrada wozi Czerwonych lub

Dokończenie na str. 11

Wszystkie drogi prowadziły do Polski

Jerzy K. Maciejewski

KAŻDY z nas, przyszłych żołnierzy WP we Francji, zanim dnia 4 stycznia 1940 r. zeszedł na ląd w Marsylii, miał za sobą różne etapy naszej tułaczej wędrówki, u której kresu świtała nadzieja na powrót do wolnej Polski.

5 września wraz z Instytutem, w którym pracowałem, opuściłem Warszawę. 17 września, z rozpaczą w sercu, przekroczyliśmy granicę polsko-rumuńską w Zaleszczykach. Zanim to nastąpiło, byłem świadkiem rozprzężenia, chaosu, klęski oraz — opadania z twarzy ludzkich masek, noszonych na co dzień. Tu, na tym szlaku ewakuacji, wyszła na jaw cała małość, chciwość, sobkostwo, zakłamanie. Z jednym może wyjątkiem postawy prawdziwie żołnierskiej. Oto 14 września podczas postoju w Berezowicy Wielkiej koło Tarnopola, gdy lotnictwo niemieckie bombardowało stację, kpt. Zdzisław Kowalczewski, zresztą autor nagrodzonego na jednym z konkursów opowiadania, skrywszy się za wagon towarowy strzelał z karabinu do nurkujących samolotów.

1 października po 2-tygodniowym wożeniu naszego zespołu po całej Rumunii wylądowaliśmy w Oknicy, małej miejscowości w Oltenii. 11 listopada uciekłem z obozu do Bukaresztu, a 3 grudnia już byłem w drodze przez Belgrad do Aten, skąd 27 grudnia na statku „Warszawa" (który równo rok później został zatopiony przez niemiecki okręt podwodny) odpłynąłem do Marsylii. Oczywiście, o tej peregrynacji można by napisać obszerną książkę. O postawach ludzkich. O ludziach na swój sposób pięknych, ale także o typach, zasługujących na specjalne studium. Dziwacznych, ale może właśnie dlatego nieprzeciętnych i ciekawych.

Już w Bukareszcie zaczęła się selekcja mas uchodźczych na tych, którzy chcieli tę wojnę możliwie spokojnie przetrwać, oraz na żołnierzy broni pancernej, kierowanych do posiadłości francuskich na Bliskim Wschodzie, na lotników — wysyłanych do Francji i Anglii, wreszcie na specjalistów, którzy by mogli być zatrudnieni w brytyjskim przemyśle zbrojeniowym. Reszta miała być wysyłana stopniowo i różnymi drogami przez Dubrownik, Modanę i Grecję. Należałem do tej „reszty", m. in. ze względu na swój wiek i brak specjalności. Naszą wojnę, tę poprzednią, odbyłem jako piechur. A we Francji na brak piechoty się nie uskarżano.

Podobna selekcja powtórzyła się na naszym pierwszym etapie francuskim: w Camp de Carpiagne, skąd pierwsi odjechali oficerowie, lotnicy oraz grupa specjalistów. W naszym transporcie było bardzo wielu ochotników, którzy nigdy nie służyli w wojsku. Według łagodnego określenia zawodowych wojskowych była to „cywilbanda". Zaraz drugiego dnia jeden z tych ochotników, wysoki, młody blondyn, zgłosił się do pułkownika z prośbą o przepustkę do niezbyt oddalonej Marsylii.

— Po co pan chce jechać? — zapytał pułkownik.

— Do swoich przyjaciół.

— To są prywatne sprawy. My tu nie przyjechaliśmy jako turyści ani na wycieczkę krajoznawczą. Niech pan się ze swoimi przyjaciółmi skomunikuje listownie.

— Panie pułkowniku, jeśli nie dostanę przepustki, będę bardzo rozczarowany co do polskiego wojska — oświadczył ochotnik. — Pracowałem w Bułgarii, zarabiałem 6000 lewa miesięcznie, rzuciłem wszystko, by wstąpić do wojska, a tu mi nawet przepustki odmawiają...

— To niech pan będzie rozczarowany — powiedział z lekkim sercem pułkownik.

A więc Camp de Carpiagne: zgrupowanie baraków i długich, koszarowych domów. W baraku betonowa podłoga, ustawione piętrowo łóżka, sienniki brudne i zaplamione. Szyby zamalowane na niebiesko. Hałas. Kłębi się dym tytoniowy. Pierwszy obiad „suchy": po pół bochenka chleba, pudełeczko sardynek na dwóch, trochę marmolady, na deser półtora herbatnika.

Przegląd lekarski. Łaźnia: zimno, podłoga straszliwie brudna. Leżą na niej jakieś brudne łachy. To podobno prześcieradła. Wydają jedno na trzech do wycierania się po kąpieli. Francuz z obsługi łaźni puszcza wodę — raz za gorącą, to znów lodowato zimną. Krzyki protestu. Francuz flegmatycznie: C'est la guerre!

Ponieważ pisma z Paryża, mianowicie „Głos Polski", przychodzą do obozu w kilku zaledwie egzemplarzach i jeden musi obsłużyć 4 baraki, czyli w sumie ok. 300 ludzi (co w praktyce jest niemożliwe, gdyż dziennik bardzo szybko zużywany zostaje na inne potrzeby), zaproponowałem w dowództwie robienie komunikatu, ewentualnie organizowanie głośnego czytania. Owszem, inicjatywa została powitana mile, ale — jak już przez cały czas pobytu we Francji — nie doczekała się realizacji. Nasi przełożeni dziwnie nie doceniali znaczenia propagandy. Może tytułem usprawiedliwienia dodam, że tak często zmienialiśmy miejsce postoju, tak wiele było przy tym wszystkim prowizorki, że na plan pierwszy wysuwano przede wszystkim sprawy organizacyjne, więc ani czasu ani ochoty nie stawało na jakąś tam akcję uświadamiającą.

Będzie na to czas, jak wygramy wojnę.

8 stycznia, po pomiarach antropometrycznych, umieszczeniu na arkuszu ewidencyjnym odcisku wszystkich 10 palców i porobieniu zdjęć (już teraz mieli nas, już nikt się nie mógł wymigać...) załadowaliśmy się na stacji Cassis (do wagonów osobowych!) i — w drogę, do Bressuire.

Znów podział na poszczególne rodzaje broni, na plutony i odmarsz do „koszar". To pofabryczny budynek. Na wielkiej sali jeden piecyk. Pod ścianami — wymiętoszona słoma. Tam mamy spać. Gdzie walizka — tam łóżko. Po dwa koce na głowę, ale menażka i przybory do jedzenia — jedna na dwóch. Przy tych ustawicznych zmianach ciągle trafiałem do jakiegoś nowego zespołu. Każda nowa twarz — to jakaś nowa formułka do rozwiązania. Jednak przyczyną największej udręki był niesłychanie różnorodny skład tej masy ludzkiej. Jacyś policjanci, jacyś ludzie z kontrwywiadu, jakieś szumowiny. Skąd się tu wzięły? Co ich tu sprowadziło? I czy mowa polska zawęża się do wiązki najordynarniejszych przekleństw? W Atenach na przykład,

Dokończenie na str. 3

teatrnn.pl

Kultura 1970

Zmarli

* 84-letni Jerzy Szaniawski, jeden z najwybitniejszych pisarzy współczesnych. Debiutował opowiadaniami i humoreskami w 1912 r. Napisał 28 sztuk teatralnych (w tym kilka słuchowisk radiowych), debiutując w 1916 r. sztuką pt. „Murzyn". Do pozycji klasycznych należą m. in. „Dwa teatry" (1945 r.), „Kowal, pieniądze i gwiazdy" (1948 r.), „Most" (1933 r.), „Dziewczyna z lasu" (1939 r.). W ostatnich latach ogłosił szereg znakomitych opowiadań z cyklu „Profesor Tutka".

* W Szklarskiej Porębie 89-letni Vlastimil Hofman, nestor malarstwa polskiego. Urodził się w Pradze, studiował w Krakowie, następnie w Paryżu. Większą część życia mieszkał w Krakowie, od 1947 r. w Szklarskiej Porębie. Był uczniem m. in. J. Małczewskiego i L. Wyczółkowskiego.

* 75-letni powieściopisarz, poeta i eseista Estońskiej SRR Jan Semper, zarazem tłumacz wielu pisarzy francuskich.

* 81-letni poeta i dramaturg francuski Jean-Victor Pellerin, laureat Grand Prix Akademii francuskiej i złotego medalu Akademii szwedzkiej.

* 67-letni malarz amerykański Mark Rothko (właściwe nazwisko Marek Roszkowicz), jeden ze współtwórców impresjonizmu. Urodził się w Dźwińsku skąd w 1913 r. jego rodzice wyemigrowali do USA.

Literatura

* Wydawnictwo Harcerskie wydało książkę „Wielkie i małe" — zbiór opowiadań znanych pisarzy radzieckich o W. Leninie.

* PIW wydał tom studiów zmarłego w 1968 r. prof. Stanisława Pigonia pt. „Wiązanka historyczno-literacka". Prace poświęcone są Mickiewiczowi, Fredrze, Żeromskiemu, Berentowi i Krzyżanowskiemu.

* Nakładem Wydawnictwa Literackiego ukazało się dwutomowe dzieło Andrzeja Lama „Polska awangarda poetycka", krytyczne omówienie poezji polskiej z lat 1917—23.

* Jan Koprowski kończy przygotowywanie do druku nowego tomu wierszy pt. „Nocne rodaków rozmowy" oraz tom przekładów współczesnych poetów niemieckiego obszaru językowego (NRD, NRF, Austria, Szwajcaria).

* W ZSRR ukaże się wkrótce album, zawierający nie tylko kolorowe reprodukcje obrazów, ale także utwory literackie zmarłego przed kilku laty malarza francuskiego Ferdynanda Leger.

* Nagrodę masta Messyny za wiersze liryczne otrzymał Lucio Coselli za tom „Młodzieniec z południa", napisany w więzieniu, gdzie odsiaduje karę 6 lat więzienia za udział w napadach rabunkowych. Ma jeszcze do odsiedzenia półtora roku.

Teatr

* Dzięki dużej akcji propagandowej jak i niskim cenom biletów Teatr Powszechny w Warszawie odwiedziło w roku ub. 130 tys. młodzieży ze szkół, kół ZMS i organizacji ZSP.

* Teatr Polski w Bydgoszczy będzie obchodził w kwietniu 50-lecie powstania i 25-lecie działalności w Polsce Ludowej.

* Wrocławski Teatr Polski wystawił „Don Juana" Moliera w reżyserii Jerzego Krasowskiego. Scenografem był Władysław Hasior, który w ten sposób debiutował w teatrze.

* W kwietniu i maju odbędą się premiery trzech sztuk, reżyserowanych przez Lidię Zamkow: „Barbarzyństwo" Gorkiego w Teatrze im. Słowackiego w Krakowie, „Troilus i Kresyda" w Teatrze Śląskim oraz „Dubrowski" Puszkina w telewizji katowickiej.

* Zbyszko Bednorz przekazał Teatrowi Ziemi Opolskiej sztukę współczesną o problemach współżycia ludzi z różnych regionów na Śląsku w pierwszych latach powojennych. Ponadto przygotowuje zbiór wspomnień z okresu konspiracji.

* W Libanie i w Syrii występował ostatnio teatr lalkowy „Miniatura" z Gdańska z programem „Bo w Mazdrze taka dusza". Kolejne etapy — międzynarodowy festiwal w Brunszwiku i Francja.

* W Teatrze Narodowym w Miskolcu na Węgrzech odbyła się premiera sztuki Krzysztofa Choińskiego „Alarm".

* 18 teatrów zgłosiło swój udział w V Ogólnopolskim Przeglądzie Zawodowych Teatrów Małych Form, który w dniach 22—26 marca odbywał się w Szczecinie.

* Włodzimierz Lenin pojawił się na scenie po raz pierwszy w 1919 roku w ówczesnym Tyflisie. W widowisku „Apoteoza" grał go aktor Teatru Ormiańskiego Apres Mhitarian. Od tego czasu postać wodza rewolucji odtwarzało ponad stu aktorów radzieckich.

* Eugene Ionesco wrócił na scenę — w NRF odbyła się prapremiera jego sztuki „Triumf śmierci". Autor pozostał wierny swoim poglądom: jedyną możliwość ratunku i przetrwania człowieka widzi w — śmiechu.

Sztuka

* Jeden z pięciu srebrnych medali na światowym konkursie rysunków dzieci i młodzieży szkolnej w Tokio otrzymała 7-letnia Ewa Dombek z Katowic. Na podobnym konkursie rysunków dziecięcych w Caracas ośmioro dzieci polskich otrzymało dyplomy honorowe.

* Rozpoczął się ostatni etap odbudowy gdańskiego ratusza głównego, zbudowanego w drugiej połowie XIV wieku.

Archeologia

* W okolicach Maratonu w Grecji pewien wieśniak, drążąc studnię, napotkał na dużą ilość kości. Archeologowie uważają, że są to jedne z pierwszych w historii ludzkości świadectwa grzebania zmarłych. Groby pochodzą sprzed ok. 5 tys. lat.

* We włoskiej miejscowości Torre Annunziata na głębokości 8 m natrafiono na 36-pokojowy dom otoczony ogrodami, basenami i fontannami, zasypany podczas wybuchu Wezuwiusza w 79 roku. Sensacją obok cennych malowideł jest wiele marmurowych rzeźb, odnalezionych w jednym z pokojów, który prawdopodobnie był czymś w rodzaju pracowni konserwatorskiej.

* Podczas budowy metra w centrum Meksyku odkopano liczne relikty z okresu świetności kultury Azteków, m. in. resztki świątyni, posągi itd.

* W Afganistanie odkryto buddyjską świątynię z cennymi malowidłami i rzeźbami, stanowiącą pierwszy znany przykład symbiozy buddyzmu i hinduizmu.

Muzyka

* Laureatami siódmego Studenckiego Festiwalu Jazzowego „Jazz nad Odrą 70" zostali w grupach: tradycyjnej — Old Metropolitan Jazz Band z Krakowa, nowoczesnej — kwartet Jerzego Lisowskiego z Gdańska, wokalistów Ewa Chmiecik ze Szczecina, instrumentalistów Bogusław Skawina z Gdańska, kompozycji Henryk Słaboszewski z Krakowa i Ryszard Misk z Wrocławia.

* „Polskie Nagrania" wypuszczą w roku bież. 150 tytułów płyt, łącznie 3,5 tys. minut muzyki. W niedługim czasie ma się ukazać long play Conchity Bautisty.

* Polskie Wydawnictwo Muzyczne rozpoczęło już wydawanie tzw. kieszeniowców. Pierwszą pozycją są sensacyjne pamiętniki sławnej tancerki amerykańskiej Isadory Duncan. W następnej kolejności pozycje poświęcone Beethovenowi, zbiór felietonów Waldorfa i być może pamiętniki Prokofiewa.

* W Tokio odbyła się wystawa chopinowska, zorganizowana staraniem Towarzystwa im. F. Chopina w Warszawie oraz ambasady PRL.

* W dniach 3 i 4 kwietnia odbędzie się w Lublinie pierwszy międzynarodowy festiwal wokalistów jazzowych, połączony z międzynarodową wystawą kopert płytowych, wystawą fotografii muzycznej, targami płyt, wieczorami poezji i prelekcjami czołowych krytyków polskich.

* Niemieckie Towarzystwo Gramofonowe wyda 75 długogrających płyt z wszystkimi utworami Beethovena. Cena ok. 200 dolarów.

* Piosenkarz francuski Brassens przez 20 minut nie mógł zacząć występu w Grenoble, ponieważ zgasło światło. Jak się okazało, kabel został uszkodzony przez niedoszłego widza — był właśnie pierwszym, który z kolejki nie dostał biletu.

* Sąd australijski w Melbourne zakazał wystawienia głośnego musicalu amerykańskiego „Oh, Calcutta", uznając go za „superzmysłowy i całkowicie amoralny".

Film

* Do listopada trwać będzie w polskich kinach wielka impreza pod tytułem „Lenin i jego dzieło w twórczości filmowej". Wyświetli się ok. 30 filmów fabularnych i dokumentalnych.

* W połowie maja odbędzie się w Łodzi pierwszy ogólnopolski przegląd filmów społeczno-politycznych.

* W Tunezji odbył się Tydzień Filmu Polskiego. Obecni byli Beata Tyszkiewicz i krytyk Jerzy Płażewski.

Różne

* W Poznaniu odbyła się IV Wielkopolska Konferencja Kulturalna z udziałem kierownika Wydziału Kultury KC PZPR Wincentego Kraśki. Omawiano działalność Wielkopolskiego Towarzystwa Kulturalnego.

* W pomaturalnej szkole cyrkowej w Julinku przyjęto na naukę 20 uczniów, a chętnych zgłosiło się 2 tysiące.

* Różnie rodzą się aktorzy. Ryszardowi Filipskiemu, twórcy teatru publicystyki „eref 66", znakomity pedagog krakowskiej PWST Józef Karbowski po oblaniu go na pierwszym roku powiedział: synu, nie trać czasu, idź do teatru i zrób dyplom eksternistyczny. I tak się stało. Filipski został 3 lata wcześniej aktorem niż jego koledzy ze studiów.

* W Paryżu sprzedano na licytacji za 5500 franków 44 strony rękopisu „Cora" George Sand.

Księżniczka tysiąca (nie — z tysiąca) i jednej nocy, diaboliczna bachantka — takimi epitetami obsypano Bernadettę Stern. Przez kilka lat była dosyć przeciętną tancerką, po debiucie przed kamerą zapowiada się szybka kariera filmowa.

Z brulionu lektora

NRF: „8 maja 1945 podręczniki mówią tylko o klęsce"

JUŻ TYLKO tygodnie dzielą nas od Dnia Zwycięstwa. W tym roku Dzień ten będziemy obchodzić szczególnie uroczyście, bowiem minie 25 lat od chwili, gdy w Berlinie marszałek Keitel, admirał von Friedeburg i generał Stumpf w obecności marszałka Żukowa, generała Spaatza (USA), marszałka Teddera (W. Brytania) i generała de Latre do Tassigny (Francja) podpisali akt bezwarunkowej kapitulacji III Rzeszy. W ten sposób zakończyła się największa i najkrwawsza wojna w historii ludzkości. Ściślej — zakończyła się w Europie, gdyż kapitulacja Japonii nastąpiła 15 sierpnia 1945 r.

W czasie naszych spotkań lektorskich będziemy wracać do tamtych dni, miesięcy i lat, które tak drogo kosztowały naród polski. Będziemy mówić o wkładzie naszego ludowego wojska i polskich formacji, rozsianych na zachodzie, północy i południu, w rozgromienie faszyzmu. Będziemy wyciągać wnioski z tragicznej historii, by Wrzesień 1939 r. nigdy się nie powtórzył. „Kamena" przygotowuje specjalne materiały z myślą, że będą one stanowiły pomoc dla prelegentów i młodzieży szkolnej.

Dziś z brulionu lektora chciałbym przedstawić wycinek z zachodnioniemieckiego pisma „Die Tat". Ukazał się w nim artykuł pióra Barbary Mausbach-Bromberger pt. „8 Mai 1945 — Die Schulbuecher sprechen nur von Niederlage" („8 maja 1945 — podręczniki mówią tylko o klęsce"). Rozważania autorki są bardzo interesujące, chociażby z tego względu, że świadczą one o pewnej zmianie postaw w NRF. Jednocześnie przynoszą wiele materiału mówiącego o tym, jak źle jest z wychowaniem młodego pokolenia w NRF. Dzień 8 maja przedstawiany jest niemal wyłącznie w podręcznikach zachodnioniemieckich jako data totalnej klęski, katastrofy. *Uczniom* — stwierdza Bromberger — *nie przedstawia się wyraźnie faktu, że dzień ten oznacza przede wszystkim klęskę faszyzmu, a tym samym wyzwolenie od faszyzmu, jak również nie ukazuje się faktycznego zasięgu ruchu oporu... W podręcznikach szkolnych szerzą się tendencje odwetowe i militarystyczne.*

Autorka przejrzała jedenaście podręczników historii, przeznaczonych dla uczniów różnych szkół. Tylko trzy spośród nich zostały wydane w latach 1968/1969, pozostałe wcześniej.

I tak w jednym z podręczników 8 maja to dzień *katastrofy, która nie ma przykładu w historii najnowszej*, w drugim czytamy, że po 8 maja zaznaczyła się w Niemczech *zastraszająca apatia wobec wszelkich kwestii politycznych. Powiał lodowaty podmuch nihilizmu.* 6 tom podręcznika „Menschen in ihrer Zeit" podaje, że po wojnie pozostały *cierpienia, spustoszałe obszary i spustoszałe dusze.* Oczywiście, jeżeli mowa o cierpieniach, to tylko o tych, które zwycięzcy wyrządzili Niemcom, ani słowem nie wspomina się o tym, co Niemcy przed 8 maja wyrządzili innym.

Tylko jeden podręcznik, wydany w 1968 r. stanowi wyjątek, stwierdza bowiem, że drugą wojnę światową rozpętali Niemcy i że Niemcy dopuścili się niesamowitych zbrodni.

Większość autorów — pisze Bromberger — *jeśli chodzi o zakończenie wojny uwypukla to, że zwycięzcy dali „swobodny upust uczuciom zemsty" i że wskutek tego ucierpiały niemieckie kobiety, dzieci i starcy. Jak zdrożna musi się wydać autorowi kwestia „wyzwolenie czy klęska?", który w swej książce („Unsere Geschichte — unsere Welt") akurat Specrowi pozwala wypowiedzieć się z okazji 8 maja — i to bez żadnego komentarza: „Chociaż wojna została przegrana, bynajmniej nie trzeba tego przypisywać temu, że on (naród niemiecki) zawiódł". Jeszcze dalej posuwa się autor podręcznika „Spiegel der Geschichte", który dzień 8 maja interpretuje słowami ostatniego raportu dowództwa naczelnego niemieckiego Werhmachtu: „Tym samym dobiega końca blisko sześcioletnia, bohaterska walka. Przyniosła ona wielkie zwycięstwa, ale także wielkie porażki... Nawet przeciwnik nie odmówi szacunku osiągnięciom i ofiarności żołnierzy niemieckich".*

Bromberger pisze na marginesie tej wypowiedzi: *Autorzy pozwalają mówić o zwycięstwach i osiągnięciach, nie wspominają natomiast słowem o tym, czym były w rzeczywistości te „zwycięstwa" i „osiągnięcia". Ani słowa o okrucieństwach, jakie popełniono w napadniętych krajach, ani słowa o prześladowaniu Żydów i bojownikach ruchu oporu.*

Po 8 maja mówi się o „winie zbiorowej". Nie pisze się, że ci, którzy w rzeczywistości ponoszą całą odpowiedzialność za popełnione zbrodnie, usiłują twierdzeniem tym przerzucić winę na cały naród. Nie wspomina się w tym miejscu o prokuratorze generalnym, Fritzu Bauerze, który powiedział: „To, czego dokonali bojownicy ruchu oporu, należało do największych narodowych aktywów z którymi my, Niemcy, moglibyśmy stanąć naprzeciw aliantom. Były to jedyne aktywa, na które mogliśmy się powołać, kiedy rzucono nam w twarz, że ponosimy zbiorową winę. Były to aktywa, które zawdzięczamy ruchowi oporu i tylko jemu". Przemilcza się, że istniał niemiecki ruch oporu, który już przed wojną walczył przeciwko narodowemu socjalizmowi i wniósł swój wkład w wyzwolenie. Natomiast przy opisie 8 maja muszą być odnotowywane „okrucieństwa Armii Radzieckiej", „nienawiść aliantów do Niemców", „wypędzenie z Ojczyzny". Mówi się o klęskach, które godzą w niewinnych, ale nie bada się przyczyn tego.

W podręcznikach historii w ogóle nie stawia się kwestii „wyzwolenie czy klęska?". Mówi się tylko o „totalnej klęsce". Na takiej interpretacji zależy wciąż jeszcze tym, którzy podobnie jak pan Becher, rzecznik Ziomkostwa Niemców Sudeckich i deputowany do Bundestagu z CDU, mówią o nie rozstrzygniętej „jeszcze wojnie".

Autorka kończy swoje uwagi:

Kwestię „wyzwolenie czy klęska" uważamy za podstawowy problem w rozważaniach historycznych zawartych w podręcznikach. Trzeba wreszcie w podręcznikach historii powiedzieć, że 8 maja 1945 r. oznacza wyzwolenie. Wyzwolenie narodu niemieckiego od jego własnych śmiertelnych wrogów — faszyzmu, terroryzmu wojny, obozów koncentracyjnych. Trzeba powiedzieć, kto walczył o to wyzwolenie i kto cierpiał. Do prawdziwego obrazu historii należy również oświetlenie niemieckiego ruchu oporu i to naświetlenie wyczerpujące, a nie tylko ruchu oporu oficerów „20 lipca" i ruchu oporu rodzeństwa Scholl — aczkolwiek ten ostatni też tylko w pewnym stopniu zawarty jest w podręcznikach. Uczniów trzeba wreszcie zapoznać z wydatnym udziałem partii robotniczych w ruchu oporu.

Uczniowie dopiero wówczas zyskają możliwość kształtowania świadomości demokratycznej, o ile w podręcznikach szkolnych znajdzie odbicie rzeczywiście obiektywne naświetlenie okresu od 1933 do 1945.

Trudno powiedzieć, czy artykuł pióra Barbary Mausbach-Bromberger odniesie jakiś skutek. Praktycznie trzeba by na nowo pisać historię lat 1933—1945. Dobrze jednak, że publicznie mówi się o fałszerstwie podręczników szkolnych, uczulając w ten sposób postępową opinię społeczną. Dla niej nie może być obojętne, czego uczy się w szkole młody Niemiec i młoda Niemka, którzy będą decydować o jutrzejszym kształcie Niemieckiej Republiki Federalnej.

MAJ

„Kultura i Społeczeństwo"

CZYTELNIK interesujący się sprawami literackimi znajdzie dla siebie wiele ciekawego materiału w numerze 3 (1969) kwartalnika „Kultura i Społeczeństwo". Zarówno filolog jak i przeciętny „amator" literatury powinien przeczytać rozprawę „O reportażu" Melchiora Wańkowicza. „Literaci — miejcie w poważaniu praszczura, z którego lędźwi poczęliście się. Bo reportaż jest tak stary jak mowa ludzka" — rozpoczyna autor ze znaną i właściwą sobie swadą pisarską, by następnie prześledzić dzieje gatunku... od starożytności aż po współczesność, ukazać nędze i blaski zawodu reportażysty, a pośród tych ostatnich — czytelnicze poważanie. Powiada Wańkowicz-reporter: „dla mnie największą nagrodą było w zbombardowanym Lublinie, kiedy policjant nie pozwalał nabyć mi butelki wina (a wody nie było) z zapasów zbombardowanego sklepu wyłożonych na ulicę (bo był zakaz sprzedawania trunków), jak tłum, poznawszy mnie, sam pozbawiony możności nabywania, zbiorowym protestem pokonał służbistę".

Działalności zmarłych zasłużonych profesorów-polonistów — Stanisława Pigonia (1885—1968) i Zenona Klemensiewicza (1891—1969) — poświęcają artykuły: E. Sawrymowicz i S. Urbańczyk. W dziale „Fakty i Problemy" A. Gronczewski omawia sesję naukową w Uniwersytecie Warszawskim na temat twórczości Wyspiańskiego, J. Okopień — 50-lecie serii wydawniczej Ossolineum „Biblioteka Narodowa", Z. Wójcik — 10-lecie Korespondencyjnego Klubu Młodych Pisarzy.

Już na przejściu do spraw socjologii znajduje się rozprawa T. Goban-Klasa „Socjologiczna problematyka publiczności teatralnej". W. Kraśko przedstawia wielostronne znaczenie badań nad kulturą w środowisku robotniczym i tak kończy swój tekst: „My, działacze, marzylibyśmy o maksymalnej pomocy ze strony socjologów poprzez różnorodne badania (...) — w jakim miejscu jesteśmy, jeżeli chodzi o kulturę, jakie są relacje pomiędzy poszczególnymi zjawiskami w dziedzinie kultury duchowej, materialnej, politycznej i życia codziennego, między książką, filmem, telewizją (...) Oczekujemy od Was, żebyście byli nie tylko badaczami, ale żebyście byli poniekąd działaczami, żebyście pomagali praktykom swoimi wystąpieniami publicystycznymi". Trzeba tu też wymienić artykuł J. Chałasińskiego „Zespolenie kultury umysłowej i pracy fizycznej", A. Kłoskowskiej „Zagadnienia potrzeb i aspiracji kulturalnych środowisk robotniczych" oraz F. Jakubczaka „Stanisław Rychliński — pionier socjologii miasta i badań środowiska społecznego".

Problematyką ekonomiczną zajmują się artykuły: S. Ignara „Problemy uprzemysłowienia Polski w latach 1945—1975", K. Secomskiego: „Świat w roku 2000. O prognozach rozwoju ekonomicznego", oraz J. Pajestki: „Ekonomiczne tendencje rozwoju świata. Koniec XX wieku — problemy i perspektywy".

W sumie — interesujący numer „Kultury i Społeczeństwa", który może zaciekawić specjalistów i niespecjalistów.

(MP)

Za Bugiem

STYCZNIOWY numer czasopisma społeczno-literackiego, wychodzącego we Lwowie, „Żowteń" przynosi wiele nowych wierszy, utworów prozą, tłumaczeń i materiałów publicystycznych.

Zwracają na siebie uwagę wiersze Witalija Korotycza, poety należącego do pokolenia, które ukraińska krytyka literacka nazwała „szestydesiatnyky", wstąpili bowiem na arenę literacką około roku 1960. Wokół tej poezji młodych rozgorzała, szczególnie w roku 1961, ostra polemika. Poeci ci już okrzepli, publikują wciąż nowe, intelektualnie dojrzałe oraz — jeśli idzie o tematykę i metaforykę — świeże wiersze. Tak właśnie przedstawił się W. Korotycz w kilku utworach o refleksyjno-aktualnej treści.

Warto też zwrócić uwagę na poetów początkujących i zupełnie jeszcze młodych. Redakcja „Żowtenia" przedstawia m. in. wiersze Haliny Sawroń, studentki Uniwersytetu Lwowskiego, które są głębokie i ludzkie w swej prostocie. „Pragnienie słońca, miłości i dobra — oto odczucia, na których opierają się wiersze Haliny Sawroń..." — pisze w słowie wstępnym S. Trofymuk.

Dmytro Pawłyczko, znany poeta ukraiński średniego pokolenia, zaprezentował w tym numerze duży zestaw tłumaczeń wierszy klasyka literatury kubańskiej, Jose Marti (1853—1895). Jest to dla poezji ukraińskiej fakt ważny, jeśli zważymy, że tłumaczenia wyszły spod pióra wytrawnego poety.

Omawiany numer „Żowtenia" przynosi wiadomość o ukazaniu się zbiorku tłumaczeń poezji z 14 języków i 47 autorów, piszących na przestrzeni 26 wieków, poczynając od legendarnej poetki greckiej Safony. Wszystkie te tłumaczenia wyszły spod pióra znanego tłumacza ukraińskiego Hryhorijs Koczura i wydane zostały w Kijowie w 1969 r. pod tytułem „Widłunnia" („Odgłosy"). W zbiorze tym poczesne miejsce zajęła również poezja polska, umieszczono tu 31 polskich utworów poetyckich, których autorami są L. Staff, M. Jasnorzewska-Pawlikowska, J. Tuwim, J. Hordyński i T. Różewicz. Jak twierdzi recenzent, ulubionym poetą H. Koczura jest Julian Tuwim.

* * *

Współczesna poezja ukraińska poniosła ostatnio wielką stratę. W dniu 17 lutego br. zmarł w Kijowie czołowy liryk ukraiński Andrij Małyszko (ur. 1912 r.). Był on autorem ponad 40 zbiorków poetyckich, otrzymywał liczne nagrody wszechzwiązkowe, republikańskie (ostatnia w 1969 r.) A. Małyszko był lirykiem, jego twórczość tkwiła głęboko w ukraińskiej tradycji literackiej, która brała swój początek w bogatej poezji ludowej i w twórczości Szewczenki. Wiersze Małyszki, niezwykle rytmiczne i melodyjne, często otrzymywały oprawę muzyczną i śpiewane były jako pieśni masowe nie tylko na Ukrainie.

M. Ł.

Lublinowi przypisany

Ireneusz J. Kamiński

O sobie

Rym nagli. Kartkę już sposobię.
Świadkowie: drzewa i wieczory.
Będzie więc o nich i o sobie
z użyciem małej metafory.

Pytałem wróżki, której z nowiem
znajomość jest od dawna bliska:
czy wszystka rzecz się zmniejsza w słowie?
Nie rzekła nic. To znaczy wszystka.

Lecz cienie na to cień przesłania
i rzeczy są niezrozumiałe,
by trwać za sprawą przemijania
i pokarm dać poezji. Małej.

ZAPEWNE, to obserwacja powierzchowna i „nie strój zdobi człowieka", z drugiej przecież strony „styl to człowiek", a krój i kolor ubrania nabierają nierzadko cech symbolu, sygnalizują przynależność do określonej generacji, a nawet do określonej mentalności. Cywilny garnitur jest mundurem jakiejś formacji społecznej czy umysłowej.

Zygmunt Mikulski, od kiedy go znam, a dziesięć już lat wzajemnych kontaktów na własny użytek właśnie święcę, co oczywiście nie ma nic wspólnego z niniejszym pisaniem, otóż Zygmunt nigdy nie stosował się do nakazów obowiązującej akurat mody. Kiedy ze spodni odwinięto mankiety, redaktor Mikulski chodził z dokładnie wyprasowanymi; kiedy kołnierzyki męskich koszul rozchyliły się na wzór włoski, on stosował długie i spiczaste; kiedy wypadło nosić krótkie płaszcze, Mikulski paradował w długim do kostek. Nie zamienił też pękatej, spinanej paskiem teczki na aktówkę.

Gdziekolwiek, na ulicy, w redakcji, w Oddziale Lubelskim Związku Literatów Polskich, któremu już trzecią z kolei kadencję prezesuje, ta teczka znajdowała się blisko właściciela, przekształcając się w końcu w atrybut Mistrza. Przez nią właśnie podejrzałem kiedyś Zygmunta, że ciągle gdzieś podróżuje, czy przygotowuje się do delegacyjnego wyjazdu. W rzeczywistości, jak się okazało, jeździł co najwyżej do Hrubieszowa, lub do Warszawy, po raz pierwszy przekraczając granicę kraju dopiero w ubiegłym roku, kiedy to poleciał do Moskwy z delegacją ZLP. Znajomość tych faktów nie przekreśliła przecież wrażenia, że obcuję z człowiekiem w stanie ciągłego sposobienia się do kolejnego działania, do następnej podróży — niekoniecznie w czasie i przestrzeni.

Ale sposób ubierania się Zygmunta nigdy nie był konserwatywny! Nieświadomie, bo nigdy nie przywiązywał znaczenia do rejestrowanych tu zewnętrzności, przyswajał sobie elementy aktualnie obowiązującej stylistyki — te, które mu intuicyjnie odpowiadały. Przeciwny ortodoksji, a zarazem niechętny modnemu nowinkarstwu, zachował indywidualność, co nieraz narażało go na ataki ze strony różnych wyznawców różnych dekalogów. Oczywiście, nie tylko tych związanych z modą męską, bo ową niezależność ujawniał Mikulski na wielu innych płaszczyznach swojej społecznej obecności.

Charakterystyczny szczegół: napisał kiedyś w redagowanym przez siebie dodatku „Sztandaru Ludu", w „Kulturze i Życiu", że nie przepada za malarstwem, za sztuką z konieczności materialnie istniejącą, przekładając nad nią słowo poetyckie. Zadrwił więc z autora tego wyznania dwutygodnik stołeczny, oburzył się wewnętrznie krytyk lubelski. Za to, że ktoś głośno powiedział pomyślane słowa, godzące — zdaniem przerażonych — w model człowieka prawdziwie kulturalnego, inaczej mówiąc — z cielęcym zachwytem wpatrzonego we wszystko, co na stole artystycznego bankietu. A jak ktoś nie lubi indyka z truflami, to co? Barbarzyńca?! Czy moja wina, żem nie podatny na działanie muzyki, bo słoń mi nadepnął na ucho?

Ostatnio Mikulski znów się „wychylił", publicznie stwierdzając, że lektura sensacji wydawniczej sezonu, „Ulissesa" Joyce'a, nuży go i nie poszerza jego wiedzy o człowieku. Można się z Zygmuntem nie zgadzać, ale nie sposób przejść do porządku rzeczy nad argumentami, którymi popiera swoje opinie. Dlatego, że wynikają one z pytań elementarnych o sens każdego działania.

Kiedyś, w młodości, z uporem poszukiwał odpowiedzi na pytanie o istotę bytu, penetrując systemy filozoficzne, które okazały się jednak w tym względzie jałowe. Wtedy też, w czasie nauki w lubelskim Gimnazjum Staszica, zetknął się bliżej z literaturą, a to za sprawą Jerzego Pleśniarowicza, dziś kierownika artystycznego i reżysera rzeszowskiego Teatru im. Siemaszkowej, wówczas, przed 1939 r., przywódcy intelektualnego uczniów tej szkoły.

Nie były to zainteresowania przejściowe, związane z wiekiem młodzieżowym. Nie przerwała ich nawet okupacja. Po szoku spowodowanym klęską wrześniową Mikulski skontaktował się z Pleśniarowiczem, Zygmuntem Kałużyńskim, Anną Kamieńską i Julią Hartwig. Zaczęli spotykać się w mieszkaniu wuja Kałużyńskiego, mecenasa Tadeusza Grafczyńskiego, przy ul. Niecałej 11, dzisiejszej Sławińskiego. Czasami wyjeżdżali do podlubelskich Zemborzyc. Rozmawiali o filozofii, literaturze, sztuce. Wokół był czas wojenny. Bez pistoletów maszynowych w dłoni, oni także brali udział w ruchu oporu.

Od strof Czechowicza przechodził następnie Mikulski, i to całkiem gładko, do kartofli, siana i słomy, którymi jako pracownik powiatowej spółdzielni rolniczej handlował na co dzień. Granatów w sianie nie chował, ale i tak o mały włos nie trafił na Majdanek. Wystarczyło, że normalnie, jak innych klientów, potraktował wysłannika niemieckiego oficera, który zgłosił się po wcześniej zamówiony worek kartofli. Rozwrzeszczał się na taki afront przedstawiciel okupacyjnej armii, solennie obiecując lubelskiemu perypatetykowi pewne miejsce w obozie. Ktoś tam, na szczęście, wyprosił przebaczenie.

Ponowione w latach bezpośrednio powojennych próby „uchwycenia istoty bytu", o których dzisiaj Mikulski wspomina z wyrozumiałym uśmiechem, skończyły się ostatecznie całkowitym fiaskiem, czemu nie zdołały zapobiec studia filozoficzne, bo po prostu nie mogły. Z tamtych doświadczeń — intelektualnych i moralnych — pozostała przecież owa skłonność do pytania o sens każdego działania, skłonność do racjonalnej analizy faktów społecznych i artystycznych oraz nigdy nie zaspokojone pragnienie poznawania.

Nieco wcześniej, jeszcze przed tym „filozoficznym rozczarowaniem", przez które przebrnąć musi myśląca część każdego pokolenia, nie zadowalająca się cienkuszem mitologicznych przekazów, trafił początkujący poeta w okolice zinstytucjonalizowanej formy społecznego uczestnictwa, która przez ponad dwadzieścia następnych lat miała zdeterminować jego aktywność. A było to tak.

9 maja 1944 r. bomba zniszczyła podwórkowe zabudowania, a druga spaliła kawał ogrodu, okalającego domek Mikulskiego na Dziesiątej; strat w ludziach i innym sprzęcie nie zanotowano. Zajęty naprawianiem powstałych szkód, dopiero w lipcu wybrał się Mikulski do śródmieścia, gdzie, oczywiście, spotkał Jerzego Pleśniarowicza. Znany krasomówca powiedział ni mniej, ni więcej, że „powstająca władza ludowa szczególnie potrzebuje młodych poetów, od których zależy przyszłość kultury polskiej, a przecież ty, Zygmuś, jesteś poetą". Po czym powiódł Mikulskiego tam, gdzie prowadził innych rówieśników: przed oblicza Kuryluka i Putramenta. I stało się: władczy kapitan Putrament przydzielił Mikulskiego do radia. Na krótko jednak, bo przeznaczeniem Zygmunta była prasa, początkowo „Gazeta Lubelska", redagowana przez Witolda Giełżyńskiego, później „Życie Lubelskie", a od 15 marca 1949 r. do dziś — „Sztandar Ludu", organ Komitetu Wojewódzkiego PZPR, w którym od 1956 r. kieruje działem kulturalnym.

W okresie „Polski lubelskiej" Mikulski opublikował swoje wiersze w antologii poetów lubelskich, która ukazała się jako piąta z kolei książka poetycka w wyzwolonym kraju; poprzedziły ją tomiki Przybosia, Ważyka, Jastruna i Putramenta.

Pracę w „Sztandarze" rozpoczął Mikulski na stanowisku redaktora technicznego, aczkolwiek nie dysponował zbyt obszerną wiedzą w zakresie tej specjalności. W owych czasach liczyła się jednak dobra wola; o kwalifikacje raczej nie pytano, z góry znając negatywny stan rzeczy, kamuflowany zapewnieniami, że „nie święci garnki lepią", „jakoś tam będzie". Przyuczał się więc późniejszy publicysta do technicznego zawodu, tłumiąc w sobie owo prawdziwe przerażenie, jakie wzbudziła w nim maszyna rotacyjna widziana po raz pierwszy w życiu, w drukarni przy ul. Buczka 12, będącej niegdyś własnością A. Szczuki; jeszcze dawniej w tym przestronnym lokalu mieściła się stajnia. (Prasa w roli Augiasza — czym bardziej można usatysfakcjonować dziennikarzy?!). Z biegiem czasu przestał się też dziwić, że jego nauczyciele nie przewyższają wiedzą ucznia. „To bardzo proste — mawiał sekretarz redakcji. — Wystarczy przez porównanie. Na przykład kwadrat, to nic innego, jak znany ci ze szkoły wycinek powierzchni o równych bokach". Prawdę mówiąc tylko jeden dziennikarz znał się wówczas na robocie technicznej, lecz gazety ukazywały się na ogół regularnie. A mówią, że cudów nie ma.

W 1952 r. poważnej awarii uległa maszyna, na której drukował się m. in. „Sztandar", w związku z czym pracownicy techniczni redakcji zostali okresowo przeniesieni do Warszawy, bo tam właśnie, w drukarni przy ul. Marszałkowskiej, zaczęła ukazywać się gazeta. Wówczas Mikulski po raz drugi bezpośrednio zetknął się ze swoją największą fascynacją poetycką — z Konstantym Ildefonsem Gałczyńskim.

Jego twórczością zainteresował się dość późno, choć pierwszy kontakt czytelniczy nawiązał jeszcze w 1936 r., w dwa lata po opublikowaniu „Ludowej zabawy — komicznaka poetyckiego" Gałczyńskiego. Dopiero jednak „Zaczarowana dorożka", wydana w 1948 r., spowodowała ów pakt żarliwej przyjaźni Mikulskiego z twórczością autora „Niobe". „Wpadłem w Gałczyńskiego" — powie po latach.

Rok wcześniej Gałczyński miał w Lublinie swój wieczór poetycki, który zwabił Zygmunta, ciekawego po prostu widoku poety. Później, w mniejszym gronie — Kleinera, Bechczyc-Rudnickiej, Gołębiowskiego, Pleśniarowicza — Gałczyński udał się na obiad do restauracji Radzymińskiego (dzisiaj „Powszechna"), gdzie zaproszono również Mikulskiego. „Usiedliśmy na piętrze, przy dużym stole przytwierdzonym na stałe do podłogi. Pod koniec obiadu, kraszonego rozmowami, uchwyciłem, zdaje się, osobowość Gałczyńskiego".

A potem był ów listopadowy wieczór 1952 r., rok przed śmiercią poety, kiedy to za namową Leszka Siemiona, dziennikarza „Sztandaru" na warszawskiej delegacji, odwiedził wraz z nim mieszkanie przy Alei Róż 6.

Drzwi otworzyła Natalia, lekko przestraszona, bo czas dla męża już dawno nie był życzliwy. Prosili o rozmowę z poetą, lecz bezskutecznie. Chcieli odchodzić — i ten gest rezygnacji przeważył: zaproszono ich do środka.

Tam był Gałczyński. I krokodyl wypchany na ścianie, i świecznik trzyramienny, i gitara, i latarnia dorożkarska. To był świat jego wierszy.

Kiedy Gałczyński zorientował się, że nie szukają tu poparcia swoich wydawniczych interesów, stał się bardziej bezpośredni. Na stole zjawiła się herbata, Mikulski recytował „Kolczyki Izoldy", Gałczyński prosił o twórczość własną gościa, ale bez rezultatu. Po pewnym czasie wstał, podszedł do biurka swoim charakterystycznym krokiem i wyjął zeń „Grób Beethovena". Mikulski i Siemion byli pierwszymi czytelnikami tego utworu, opublikowanego później przez „Przekrój".

Wrażenie po tej wizycie: „Gałczyński był z innego świata, nie potrzebował mówić, z niego emanowała poezja".

Cóż było potem? Można powiedzieć: pamięć Gałczyńskiego. I gdzieś obok inni poeci, choćby Czechowicz. Można tak powiedzieć, nie mijając się z prawdą.

Ale były również mniejszego kalibru pasje, bez których dossier Zygmunta jest nie do pomyślenia. A więc szachy. 48-godzinne, trwające bez przerwy seanse szachowe w Klubie Profesorów Demokratów. Zazwyczaj od soboty do poniedziałku — za przyzwoleniem sowicie obdarowywanego portiera. Na uprawianie innych dyscyplin sportowych nie starczało czasu, a chyba i tchu w piersiach. Pozostały tylko dobre wspomnienia o przedwojennym mistrzostwie okręgu lubelskiego w sprintach i w skoku w dal, oraz nieco groteskowe o fatalnej porażce dawnego mistrza skoków podczas zawodów w 1946 r., do których został zniewolony przez złotoustego, oczywiście — znów Pleśniarowicza!

Na co dzień, przez długie 21 lat, jest przecież Zygmunt Mikulski przede wszystkim dziennikarzem „Sztandaru Ludu", w którego święcone właśnie ćwierćwiecze wpisał spory kawał własnej biografii. Jak i w powojenne dzieje Lublina — jako członek Komitetu Wojewódzkiego PZPR, przewodniczący zespołu d/s kultury przy KW, jako radny Wojewódzkiej Rady Narodowej.

O życzliwości Zygmunta — autora tomików poetyckich „Spacery lubelskie" (1961) i „Czerwiec przez kalkę" (1969) — dla młodych poetów, których w miarę dwustronicowych możliwości „Kultury i Życia" napawa nadzieją (i czyści ze złudzeń) nie wspomnę, albowiem rzecz to powszechnie znana. Skromnym dowodem miano „Mistrza", jakim go wszyscy obdarzamy.

Dokończenie ze str. 1

Wszystkie drogi prowadziły do Polski

w hotelu, gdzie byliśmy zakwaterowani, wyrzucali puste butelki oknem na dziedziniec, na szklany dach garażu, pozdejmowali z łóżek i pochowali po kątach całą pościel z materacami włącznie...

Tu, w Bressuire, z myciem i ubikacją — problem. Myliśmy się pod kranem na zewnątrz hali fabrycznej. Przed kranem — ogonki. A mróz coraz dokuczliwszy. My przynajmniej spaliśmy w hali fabrycznej, ale inne grupy były zakwaterowane w stajniach, szopach. Biedacy, przychodzili do nas myć się, ogolić, po prostu trochę ogrzać, powiększając panujący u nas tłok.

Rankiem następnego dnia okazało się, że woda w nie zabezpieczonym kranie zamarzła. Tak więc mycie mieliśmy już z głowy. A kiedy kładliśmy się spać, to leżeliśmy na tym barłogu tak gęsto, iż trudno było przewracać się na drugi bok. Pojawiły się insekty.

Na ulicach pełno młodych Francuzów. Ozdobieni narodowymi kokardami, darli się i śpiewali, wstawieni. Szli do wojska, a ten stan oszołomienia u młodzieży poborowej skądś mi był znany... Jak się zdaje, Francja przeprowadziła totalną mobilizację. Wszystko było zapchane wojskiem. Tylko na „froncie" (mam na myśli linię Maginot) panowała senna cisza.

Nasi ludzie wałęsali się bezczynnie. Nie mieli głupich kilkunastu sous na szklankę vin chaud. Cudacznie ubrani faceci (bo uciekając z wojskowych obozów przywdziewali co w rękę wpadło), czuli się wobec mnogości towarów na wystawach sklepowych jak Alicja w krainie czarów. Łakomym wzrokiem patrzyli na kobiety. Były w tym małym mieście nieosiągalne zarówno ze względu na presję środowiska, jak na nieznajomość języka i świadomość, że jest się tutaj tylko przelotnym ptakiem. Więc cóż dziwnego, że ten i ów po kryjomu się onanizował? Poza tym gadali, gadali. O tym, co było w Polsce, i o swej tułaczej drodze.

Znów mieliśmy przegląd lekarski i rejestrację. Może to i dobrze, że na froncie panuje zastój. Mamy czas się pozbierać. Poza tym Francuzi nie byli przygotowani na organizowanie — tak jak przed 22 laty Armii Hallera — oddziałów polskich. Tak powiedział, by rozwiać nasze złudzenia i narastającą wobec „katanów" — jak nazywali u nas Francuzów, — niechęć, płk Maruszewski. Braki w zakwaterowaniu, wyżywieniu, nie ma broni (bo cóż to za broń te karabiny „lebele", pamiętające nieomal wojnę franko-pruską?) Dawał się też odczuć jakiś bierny opór francuskiego kwatermistrzostwa, tarcia wewnętrzne i różne koncepcje — u nas, w korpusie oficerskim.

Wreszcie 15 stycznia odjechaliśmy do Parthenay (miasto w departamencie Deux-Sèvres). Tu miano nas umundurować i tu, w sąsiedztwie dowództwa 2 Dywizji Strzelców Pieszych, w której skład wchodziliśmy, miano rozpocząć stwarzanie z nas prawdziwego wojska.

Umundurowanie przeszło względnie gładko i szybko, choć np. trzewików wojskowych w depót zabrakło i fasowaliśmy cywilne, które po paru tygodniach się rozlazły. No, ale właściciele sklepów z obuwiem byli radzi: hurtowo pozbywali się bubli.

Poza tym wszystko było według programu: zakwaterowanie w nieczynnej fabryce, ustępy brudne i śmierdzące. Tworzyły się przed nimi kolejki. Niektóre kabiny nie miały drzwi, w innych ścianki działowe miały powyłamywane pustaki, ale to nikomu nie przeszkadzało. Wręcz przeciwnie — sprzyjało tylko towarzyskiej konwersacji. Wodę trzeba było nosić z ulicy, jedzenie było o zmiennej jakości, choć przeładowane mięsem i tłuszczem. Poza tym trwały nieodzowne zbiórki, a zamiast ćwiczeń — na razie dalekie marsze za miasto. Nie zabrakło i komisji lekarskiej. Żeby tak o człowieka dbano w cywilu! W „koszarach" trwał ruch i gwar nieustanny, a tłok panował taki, że ludzie spali nawet pod stołami. Ale była też i łaźnia, choć już o godz. 11 trzeba było przerwać kąpiel, bo zabrakło gorącej wody. Mróz zaś trwał siarczysty.

Pierwszy po Camp de Carpiagne etap we Francji: Bressuire — wymarsz ochotników z zamku. Prowadzi sierż. H. Rutkowski.

Zdjęcie autora.

25 stycznia nastąpiły przenosiny do Thénezay, w porównaniu z którym Parthenay jest kulturalnym centrum. Znów mieliśmy nocleg w oborach, w stodołach i znów było brudno, zimno, hałaśliwie. Nie wytrzymując tego nerwowo, wyszedłem odetchnąć na zewnątrz. Wielki, miedziany księżyc wznosił się sponad dachów miasteczka. Na lewo mgliście rysowała się wieża kościelna. Jeszcze jedna noc w tej wymarzonej Francji.

Nazajutrz był targ miesięczny: kilka straganów z manufakturą, samochód z owocami (daktyle, banany, orzechy, pomarańcze), wóz z rybą. Trochę wędzonych śledzi, solony sztokfisz, węgorze. Przywiezione w dużych cebrach w stanie zamarzniętym. Sprzedawca starannie je palcami wyprostowywał, z grubsza zgarniając szlam, i rozkładał jeden obok drugiego na ruszcie nad żarzącym się węglem drzewnym. Przyciskał je przy łbie i ogonie żelaznymi prętami, by się nie skręcały, a towarzysząca mu kobieta, krótka i pękata, wachlowała węgle, podsycając żar. Swąd bił z rusztu siwymi kłębami. Po upieczeniu ryby wyglądały nawet dość apetycznie, gdyby się nie wiedziało, jak były „czyste".

W okolicy pracuje dużo Polaków, głównie u chłopów. Wielu pożeniło się z Francuzkami. W tych małżeństwach dzieci wynaradawiają się zupełnie. Taka baba, gdy się rozgniewa, krzyczy na męża „sale Polonais!"

Jerzy K. Maciejewski

Kamena str. 3

Musimy swoją Ojczyznę
pachnącą różami i chlebem
wprzód nakryć
własnym sercem
jak gdyby drugim niebem
JAN POCEK

Zapole

Nr 1 (10) 29 III 1970 Rok IV

Korespondencyjny Klub Młodych Pisarzy — Ośrodek Lubelski przy ZW ZMW

Stanisława Buszta

* * *

Twoja dłoń zakwitała w dotyku
niosła światło najczulszych promieni
jest przerwanej symfonii muzyką
umie wielkie moje szczęście wyzwolić

daje i odbiera na nowo
milion szczęścia zamknięty w ciszę
jakże tęskni moja dłoń do twojej dłoni
wyobraźnia spełnienie kołysze.

Jerzy Chłodnicki

obojętnym

nie zamykaj oczu nawet na oka mgnienie
wbrew naturze nie zamykaj
bo rzęsy ci ukradną
brwi ukradną
widzenie

nie zamykaj oczu choć spadają powieki
mimo wiatru nie zamykaj
przymkniesz a jutro
a pojutrze
protest powiek
nie wykrzyczy
raju.

Zdzisław Toczyński

Kolędnicy

Wysypał się korowód kolędników
poszli jak stali
ten ubrany w kożuch zniszczony barani
śpiewali za oknami śnieg

*

Wysypał się korowód kolędników
artystów
szli za nimi inni artyści statyści
Śpiewali za oknami śnieg.

Odwiedziny

Twarz ręce oczy
rozpoznania szyfry
niewolnicy szyfrów
cóż poznanie znaczy
wystarczą pełne słońca
zielone pokrzywy
zmęczonej pamięci
wielkanocny spacer

Tadeusz Kwiatkowski

Erotyk VIII

Stroiłem ciebie w sarny wstrzymujące oddech
W boje koralowe które jątrzą fale
Odwrócony plecami w przestrzeń cierpkiej
złodyczy
W ostatnim innym świecie bluźnierstwie
pamięci

Stroiłem ciebie urodzoną przed chwilą
W rodzaj lilii przybyłej z brzemiennego czasu
W trwałość prawd zaśpiewanych strzałą
W ręce ślepe wspanialsze od lassa

Stroiłem ciebie w wytchnienie żelaza po walce
W nieodzowną modlitwę milczących brzegów
W świadomość nocy zachłannej jak nadzieja
W otwarte widziadła obcego mi zachwytu.

Adam Sikorski

* * *

Miasta jesieni zapamiętać chciałem

Nurt tęczy wspartej na wiklinie ciszy
Choć gesty nie były rosistością zieloną
Choć kształt widziany nie był ptakiem plaży
A piękno kraglejsze niż dotyk
Rękom moim umykało zwinnie

Niosłem mu w oczu zamknięciach
Rzeki księżyc echem wsiąkający w niebo
i miękkość moich widzeń
Lecz spod rzęs wieczorem
Wypełzła ku mnie śpiewem dalekim
Rzeczywistość

Aleksander Łukomski

Fraszki

Toast

A żeby życie miało uśmiech
dziewczęcych ust
„Chlust".

Sztuka życia

Będzie Cię fortuna głaskać
Jeśli się nauczysz klaskać.

Anna Buczek

Kustosz

Jestem kustoszem
w moim muzeum
pielęgnuję
lecące chrzęstemy bólu
wodospad twojego
milczenia
nasiąka ciszą
nocy zwiędłych
kwiatów paproci
i leżą białe
listy żagiel
w kopertach wiatru
pachnące jałowcem
zielone nasze drogi
splątane nici
wodorostów
przemierzam ponownie
lecz jestem
już tylko kustoszem.

Jerzy Jedziniak

* * *

Śnieg
mój biały
dzieciństwa
po kolana
szron na ścianach
po pas
wojny
w zadymkach
i zaspach

Śnieg
kolorowych szczygłów
zmarzniętych nadziei
noworocznych
białych brzóz
skrzypiący
drogami wysiedleń
i przysypanych
na pniu zbóż

Śnieg
śladów zasypanych
tropionych
po pas
wojny
w zadymkach
i zaspach
purpurą
barwiony

Krystyna Makówka

Decyzja

słowa —
kruche
deszczem spadną
łzy
i skłamią

słówka
lśniące cacka
zgasną
siłą zapewnienia

nie ma
tych samych
dwu dni
dwu spojrzeń

jakie —
słowa dać
jeśli
bez słów

* * *

nie patrz w okna
pragnienia są snem
ludzi

o czym myślisz

masz
smutne włosy
oczy najeżone
zielenią
deszczem
malujesz wszystkie
okna

żal pijesz
a barwy
wciąż bledsze

Redaguje zespół:
Jerzy Jedziniak
Zbigniew Strzałkowski
Stanisław A. Łukowski

Liryka niekłamanych wzruszeń

Waldemar Michalski

Z SATYSFAKCJĄ odczytuję po raz kolejny wiersze Krystyny Makuły-Trochimiuk, które młoda poetka zaprezentowała w zbiorku „Po tym wszystkim soczystym" (W-wa, LSW). Tom jest tzw. „witryną", czyli równoczesną próbą prezentacji prac plastycznych innego autora — w omawianym tomie swoją interesującą grafikę przedstawił student historii sztuki, Grzegorz Sądecki, podobnie jak poetka, lublinianin. Ożenek grafiki z poezją w publikacjach firmowanych przez KKMP zdaje bardzo dobrze egzamin i należy się tylko dziwić, dlaczego te ciekawe wydawniczo albumo-tomiki nie są ostatnio rozprowadzane przez „Dom Książki" (w drodze wyjątku kolportuje je tylko Księgarnia Wysyłkowa w Warszawie). Tak więc praktycznie witryny stały się widmami wydawniczymi, a szkoda bo — jak w wypadku zbiorku Makuły-Trochimiuk i Sądeckiego — zasługują na jak najlepsze noty. Kilka słów chciałem tu poświęcić przede wszystkim liryce Krystyny Trochimiuk, ponieważ utwory te urzekają swoim liryzmem i świeżością poetyckiego widzenia. Wiersze takie jak „Syn śpi pod modrzewiami", „Zaproszenie na tamto lato", „Mamie mojej do łez", „Odejście twoje takie", „Prośba" — należą do najlepszych w zbiorku. Niewątpliwie liryce tej patronuje Małgorzata Hillar, ale jest to patronat w zakresie ogólnych założeń poetyckiego kanonu, a nie w doborze i interpretacji poetyckich motywów.

Miłość, macierzyństwo, przyjaźń w wymiarach trosk i nadziei dnia powszedniego są głównym tematem lirycznych sugestii Makuły-Trochimiuk. Towarzyszy temu, pośredniczy w przekazywaniu poetyckiego obrazu precyzyjna, konkretna metafora, która prowadzi często od uogólnień do szczegółu, do konkretu mocno osadzonego w świecie realiów. Oto przykłady: „czas / kaszlących zegarów / dobrze zmarszczki odmierza / kobietom pchniętym w lustra", „odeszłaś rankiem / a to tak / jakbym zgubiła spinkę do włosów / i jakby wszystkie muszle morza / straciły lekkość", „cienie migotliwe / na rynku sprzedawano / powiązane w pęczki"... Warto zwrócić uwagę na dużą przejrzystość i czytelność tych wierszy. Jest to wynikiem stosowania przez poetkę raczej tradycyjnej struktury lirycznej. Podmiot tych wierszy w pierwszej osobie relacjonuje zaistniałe fakty, przedstawia sytuację, komentuje. Przejrzystość, bezpośredniość poetyckiej relacji niewątpliwie zwiększa możliwość emocjonalnego oddziaływania liryki Makuły-Trochimiuk na czytelnika mniej doświadczonego, nie zorientowanego w eksperymentach poezji współczesnej.

Wielu poetów chętnie patrzy na człowieka z odległej kosmicznej perspektywy — wtedy ziemia jest zwykle szarą masą, a człowiek rozpatrywany głównie w kategoriach egzystencjalo-fizjologicznych (przykład: wiersze Jarosława Markiewicza). Niektórzy w takiej twórczości chcą upatrywać „makropoezję". Wiersze Makuły-Trochimiuk reprezentują odmienny typ liryki. To liryka humanistycznej wiary w człowieka, pełna optymizmu. To właśnie tłumaczy i wyjaśnia, dlaczego świat poetycki, który tworzy poetka, jest wystarczająco wielki i bogaty, choć wyznaczony zaledwie trzema postaciami: matki, syna i męża.

Lubelski Ośrodek Korespondencyjnego Klubu Młodych Pisarzy przy ZMW wychował już wielu utalentowanych poetów, którzy zasilili miejscowe środowisko literackie. Krystyna Makuła-Trochimiuk jest poetyką, z którą można wiązać duże nadzieje nie tylko w obrębie lubelskiego środowiska.

Grafika Dominika Opolskiego
Fot.: M. Sachadyn

Fot.: Z. Wdowiński

Pasja: las

Mirosław Derecki

TEN pałacyk myśliwski wybudował, proszę pana, ordynat Maurycy Zamojski, jeszcze w 1902 r. Zresztą, co ja mówię — „pałacyk", toż to cały pałac: budynek piętrowy, 30 pomieszczeń mieszkalnych, wielka sala balowa wysoka na 6 metrów. Do tego jeszcze, ma się rozumieć, wieża, bo jakże bez wieży pałac stawiać? Architektonicznie — zero kompletne, czwarte popłuczyny po stylu „tyrolskim", który, być może, zapamiętał hrabia z zagranicznych wojaży, ale za to znać „pański gest", nieliczenie się z wydatkami...

Obszary należące do nadleśnictwa Strzelce słynęły zawsze z mnogości zwierzyny, toteż ordynat mógł bez trudu imponować zagranicznym gościom — myśliwym, podtrzymywać legendę o Polsce, kraju „pełnych zwierza borów". Proszę wziąć pod uwagę, że choć ze względu na powierzchnię zaliczamy się do nadleśnictw średnich na Lubelszczyźnie, gospodarujemy na 6,5 tys. hektarów, to równocześnie jest to w tych okolicach, w powiecie hrubieszowskim, największy kompleks leśny i dlatego ściąga tutaj zwierzyna. Dodatkową dla niej dogodność stanowi fakt, że przeważają lasy liściaste, w związku z czym pleni się bardzo bujnie poszycie leśne — gąszcz leszczynowych i malinowych krzaków jest tak zwarty, że nierzadko widoczność ograniczona jest do 2—3 metrów, a to zwiększa możliwość wynalezienia sobie odpowiednich kryjówek. Jeszcze dzisiaj żyje tutaj 180 saren, mamy sporo dzików, lisów, zajęcy, kilkanaście borsuków i leśnych kun. Ostatniej zimy pokazały się nawet wilki.

Tak... Mówiąc o lesie, sam, nie wiadomo kiedy, zacząłem się rozwodzić nad jego myśliwskimi walorami. Widzę, że już nawet ja, leśnik, zaczynam bezwiednie zbaczać z tematu, który jest mi najbliższy. A dzieje się tak dlatego, że — proszę mi wybaczyć — przez chwilę zacząłem patrzeć na las pańskimi oczyma, spojrzeniem człowieka z miasta. Wy tam las często rozumiecie, jak go rozumieją myśliwi — pohukująca nagonka, dźwięk trąbek, zwierzyna pomykająca wśród drzew, huk wystrzałów, ognisko, bigos myśliwski, „zachłyśnięcie się — jak powiadają niektórzy — balsamicznym, świeżym powietrzem", jednym słowem — rekreacja. Tak. Myśliwi są z natury elokwentni, ich opowieści — sugestywne. Może dzieje się tak dlatego, że myśliwymi zostają często ludzie szczególnego pokroju, nietuzinkowi? A my, leśnicy, jesteśmy zwykłymi ludźmi, tyle, że żyjącymi i pracującymi w lesie. My las odbieramy jako rzecz oczywistą w naszym życiu i nie potrafimy się na jego temat szeroko rozwodzić.

Właściwie — to nas się po prostu nie zauważa. Choćby taki przykład: tegoroczna zima była niezwykle ciężka. Bezustannie słyszało się o trudzie kolejarzy i drogowców, którzy istotnie w ofiarny sposób walczyli z wybrykami natury. A czy ktoś zadał sobie pytanie, jak wygląda zima u leśników? To jest czas, gdy niemłody już często gajowy, nie zważając na warunki atmosferyczne, codziennie wychodzi na obchód swojego odcinka. Nierzadko przy dwudziestostopniowym mrozie, zapadając się po kolana w śnieg, brnie przez tych piętnaście czy dwadzieścia kilometrów terenu, za który jest odpowiedzialny, sprawdza drzewostan, wykłada karmę dla głodującej zwierzyny, nierzadko musi przekopywać w śniegu ścieżki do karmników, do żerowisk dla dzików. Zdarza się, że podczas takiego obchodu, natknie się na kłusownika. Powinien mu wówczas odebrać broń, a jego samego przekazać w ręce milicji. Rzecz odbywa się najczęściej bez świadków. Wokół dwóch ludzi, którzy się przypadkowo na siebie natknęli, rozciągają się puste leśne przestrzenie. W takich okolicznościach zdeterminowany człowiek łatwo poważy się na największy występek.

Pamiętam w mojej zawodowej karierze wypadek, kiedy kłusownik zastrzelił gajowego. Nie tak dawno znów zatrzymaliśmy na naszym terenie kłusownika. Podczas obchodu leśniczy Witold Stańczuk spotkał jadącego saniami leśną przesieką chłopa, który wydał mu się podejrzany. Pod groźbą użycia broni zmusił go do zejścia z sań, na których znalazł ukrytą w słomie dubeltówkę. Kłusownik skorzystał z chwili nieuwagi, dopadł sań i pognał galopem w las, wiedział, że mimo ostrzeżenia leśniczy w plecy mu nie strzeli, ale nie wiadomo, jak by wyglądała sytuacja, gdyby zatrzymany mógł sięgnąć po broń...

Ktoś mógłby jednak powiedzieć, że dramatyzuję pewne „jednostkowe" przypadki. Dobrze. Sięgnijmy zatem do spraw ogólniejszych. Popatrzmy na las jeszcze w innym aspekcie. Jako na wielkie przedsiębiorstwo produkujące drewno. Przedsiębiorstwo, które, tak jak każde inne, realizuje ustalone plany produkcyjne. W fachowym języku leśników istnieje termin — „pozyskanie drewna". Chodzi, oczywiście, o planowy wyrąb lasów i odstawienie surowca do oddalonych często o kilkanaście kilmetrów baz, skąd drewno wędruje już do tartaków. Nadleśnictwo Strzelce, ze względu na — do niedawna — bardzo złe drogi dojazdowe, posiada poważny „kapitał" drzewny, stąd obowiązuje nas obecnie bardzo wysoki „rozmiar pozyskania". Inaczej mówiąc, każdego roku musimy wyciąć i wywieźć z lasu 18 tys. metrów sześciennych drewna.

Zima to dla nas „najgorętszy" okres. Właśnie wtedy dokonuje się największych wyrębów i wówczas też trwa wywózka drewna.

Przez kilka ostatnich miesięcy radio prawie codziennie nadawało komunikaty o ciężkiej sytuacji zwierzyny leśnej — nie mogącej wskutek wysokich opadów śnieżnych dotrzeć do pożywienia. A my musieliśmy nie tylko tę zwierzynę dokarmiać, ale przede wszystkim walczyć z zaspami, które momentami całkowicie uniemożliwiały pracę wielkich ciężarówek, wywożących drzewo z poręb. Fabryki muszą pracować i nikogo nie wzrusza, że trwają zamiecie śnieżne, że na drogach tworzą się kilkumetrowe zaspy, że drzewa pękają od mrozu. Nie dalej niż wczoraj przez Hrubieszowskie przeszła zamieć. Zanim pługi przetarły drogę, przez cały dzień byliśmy odcięci od świata. W mieście wszyscy czekają wiosny, a „producenci drewna" z wielkim niepokojem obserwują pierwsze jej oznaki. Dla nas okres roztopów to klęska. Sanie, którymi dowozimy drewno z głębszych partii lasu do bitych leśnych dróg, gdzie czekają już ciężarówki, stają się bezużyteczne.

Zimą w lesie, często na bardzo oddalonych od wsi i osad odcinkach, pracuje 200 ludzi. Nawet gdy drogi są zawiane a transport uniemożliwiony, oni muszą kontynuować wyrąb. Żeby dotrzeć do miejsc pracy, już na długo przed świtem wychodzą z domów. Pracują jak dzień długi. Nadleśnictwo musi się wtedy troszczyć między innymi także o zapewnienie im gorących posiłków. Kiedy sanie z gorącą kawą czy zupą, po przejechaniu kilku kilometrów, dotrą wreszcie do miejsca przeznaczenia, zawartość kotłów jest już często zimna. A pracujący ludzie nie mogą się nawet zagrzać przy ognisku — przecież w lesie każda iskra grozi pożarem.

Z nadejściem wiosny nasze kłopoty nie kończą się. W ciągu półtora miesiąca musimy wykonać plan zalesiania. Tymczasem równocześnie rozpoczyna się okres prac polowych i większość sezonowych robotników odchodzi do własnych gospodarstw. Mając zapotrzebowanie na przynajmniej 40 ludzi do sadzenia lasu, posiadamy do dyspozycji dwudziestu kilku.

A potem jest lato. Okres pielęgnowania sadzonek i młodników, robienia porządków w lesie — wycinania zbędnych drzewek. W lecie zjeżdżają do pałacu dziecięce kolonie i wówczas nierzadko pracownicy nadleśnictwa stają się, chcąc nie chcąc, opiekunami i wychowawcami młodzieży. Zresztą powiedzenie o spokojnym, „zaściankowym", leśnym życiu nas nie dotyczy. W pałacu mieści się Ośrodek Szkoleniowy Kadr Leśnych. Z wyjątkiem miesięcy wakacyjnych odbywają się tutaj kursy dla gajowych i leśniczych z całego okręgu lubelskiego, szkolenia dla pracowników administracyjnych nadleśnictw.

Przy intensywności prac i różnorodności problemów, z jakimi się codziennie spotykamy, niewiele czasu pozostaje na zajmowanie się tym, co innym sprawia tyle radości, to znaczy na uprawianie myślistwa. Zresztą wybrawszy się na polowanie, człowiek staje natychmiast jakby na „obcym" terenie. Las, w którym żyje i pracuje, lub którym zarządza, ma teraz dla niego zupełnie inne oblicze: przestaje być terenem przedsiębiorstwa produkującego drewno, jest terenem łowieckim, należącym do różnych kół myśliwskich. I może właśnie dlatego, choć leśnik często chodzi ze strzelbą, używa jej rzadko i niechętnie.

Pyta pan, czy wybrałem zawód leśnika, bo właśnie taki rodzaj życia, jaki tutaj przychodzi nam pędzić, urzekł mnie szczególnie... Nic podobnego. To był czysty przypadek. Zupełny brak tradycji rodzinnych. Cała rodzina to dziennikarze. Ojciec jeszcze przed wojną był kierownikiem placówki PAT-a w Łucku, później przez wiele lat kierował oddziałem PAP w Łodzi, siostra i szwagier są dziennikarzami, nawet mój syn pracuje w telewizyjnym „Poligonie". Pewnie i ja zostałbym „wyrobnikiem pióra". Ale los sprawił, że w 1939 r. osiemnastoletni Mieczysław Janisławski spędzał wakacje w pewnej leśniczówce na Białostocczyźnie i tam ogarnęła go wojna. No cóż, trzeba było coś robić, a umiałem niewiele. W lasach początkowo było dość spokojnie, nie odczuwało się tak silnie jak gdzie indziej jarzma okupacji. Znajomi wyrobili mi miejsce praktykanta leśnego w ordynacji zamojskiej, a od 1943 r. objąłem leśnictwo w Józefowie Biłgorajskim.

Przyszło wyzwolenie. Ludzie zmieniali zawody, rozjeżdżali się po Polsce, a mnie coś trzymało na miejscu. Początkowo sądziłem, że to może brak życiowej aktywności, ale wkrótce zrozumiałem, że po prostu... przyzwyczaiłem się do lasu.

Z upływem lat las objawia mi się w coraz to inny sposób. Pomijając już zwykłe, ludzkie doznania, poznawałem go kolejno z punktu widzenia praktykanta, leśniczego, wreszcie — nadleśniczego. I choć nigdy nie ograniczałem swego życia tylko do lasu — od 1946 r. jestem czynnym członkiem ZSL, w latach 1961—1965 sprawowałem funkcję posła na Sejm — to myślę, że chyba z lasu nie odejdę już nigdy. Las, proszę pana, potrafi wciągnąć człowieka.

Katastrofa w Ćmiłowie

Wiktor Łoboda

KATASTROFA w Ćmiłowie pod Lublinem oceniona została, w skali rezultatów, jako najpoważniejsza w województwie od 20 lat. 7 osób zabitych na miejscu, 13 rannych, w tym troje bardzo ciężko. Jeden ranny zmarł w nocy w szpitalu. A przecież właściwie oba samochody nie zderzyły się ze sobą, nie trzasnęły jeden w drugiego maską w maskę, a jedynie otarły bokami. Autobus PKS z Lublina do Bychawy wypełniony był szczelnie pasażerami. Z przeciwnej strony nadjeżdżała wielka ciężarówka z przedsiębiorstwa transportu budownictwa, załadowana trylinką. Szosa tu dość prosta, równa, widoczność dobra. Obaj kierowcy spostrzegli się z daleka. Ich zeznania brzmią podobnie: nie jechali szybko, około 50 kilometrów na godzinę, zbliżając się do pojazdu z przeciwka chcieli zjechać na prawe pobocze i wtedy samochody ześlizgiwały się z powrotem w kierunku środka jezdni, gdyż na poboczach leżał zgarnięty z szosy, oblodzony śnieg; w ostatniej chwili obaj skręcili kierownice w prawo, aż do oporu, decydując się na wjazd przez wał śniegu i rów w pole, co też przecież mogło skończyć się tragicznie dla pasażerów; manewr ten nie pomógł, czy też nie pomógł dostatecznie, bo choć wozy minęły się maskami, to skrzynia ciężarówki zahaczyła o bok autobusu, tuż za plecami kierowcy. Kierowca ciężarówki w ostatnim momencie rzucił się w prawo; lecz życiu jego i tak nie groziło niebezpieczeństwo, kierownica i fotel nie zostały uszkodzone, a tylko zasypane odłamkami szkła. Następny fotel jednakże wyrwany był z podłogi i połamany, podobnie jak i wszystkie kolejne zewnętrzne z lewej strony. Lewa ściana autobusu, zerwana całkowicie, zwisała w strzępach. Trwało to wszystko ułamki sekundy. Na szosie leżało 5 zabitych i kilku rannych, reszta ofiar znajdowała się w samochodzie. Na fotelach po prawej stronie autobusu siedzieli pasażerowie, którym nie stało się nic i którzy dopiero po chwili zaczęli sobie zdawać sprawę z tragedii, która tu się wydarzyła. Nie można nawet powiedzieć, że byli jej świadkami; pytani potem, odpowiadali: „nie wiem, nie widziałem, jechaliśmy, usłyszeliśmy nagle jakiś trzask i zobaczyłem, że autobus stoi, jest potrzaskany, że są zabici i ranni".

Gdy mowa o takich wypadkach, ludzie interesują się przede wszystkim techniczną stroną wydarzenia.

Jak do tego doszło, jak to przebiegało, kto zginął? Jest w tym zapewne i zwykła ludzka ciekawość zjawisk niecodziennych, i współczucie dla ofiar, i, być może, chęć dowiedzenia się szczegółów po to, by samemu chronić się przed podobnymi niebezpieczeństwami. Nigdy nie będę teraz siadał z lewej strony, mówiło mi już parę osób; gdyby katastrofa wyglądała inaczej, gdyby autobus prawym bokiem uderzył w słup lub barierę mostu, czy zwalił się do rowu, mówiliby, że nie siada więcej z prawej, że lewa jest bezpieczniejsza, bo to strona kierowcy.

Ludzie, którzy zginęli, należy żałować, nie jest im jednak już potrzebne współczucie. Na żywe współczucie zasługują natomiast rodziny ofiar oraz ranni, których czeka niekiedy długie leczenie. Katastrofa wydarzyła się o zmierzchu. Już w nocy na jaskrawo oświetlonej reflektorami milicyjnymi szosie, stał przy zwłokach swej żony młody mężczyzna, podoficer WP, bez ruchu, jak na warcie. Ktoś mu poradził, by poszedł do domu, bo tu niepotrzebny, zwłoki zostaną przewiezione do zakładu medycyny sądowej, a za dzień, czy dwa zwrócone rodzinom. Odpowiedział, że nie pójdzie. Poczeka, a gdy zwłoki zostaną zabrane, pójdzie pożegnać się z dziećmi, ma dwoje, w wieku przedszkolnym; a potem zabije się — nie jest w stanie przeżyć tego nieszczęścia. Milicja zrywa ze snu jego zwierzchnika w pracy, żeby zaopiekował się nim do chwili, gdy pierwszy wstrząs minie.

Nagła śmierć człowieka to przede wszystkim nieszczęście dla jego bliskich. 23-letni urzędnik pocztowy, zmarły w szpitalu, syn zasłużonego pocztowca, był dumą ojca i nadzieją na kontynuowanie rodzinnych tradycji zawodowych. Młody robotnik ze wsi Chmiel, bezrolny, pracujący w Lublinie, po śmierci żony staje bezradny wobec pytania, jak będzie teraz wychowywał swoje czteroletnie dziecko.

Jeszcze gorzej, gdy zmarły był jedynym, lub głównym żywicielem rodziny. Starsza kobieta, której nie można było początkowo zidentyfikować, wychowywała wraz z mężem inwalidą dwoje wnuczat w wieku szkolnym porzuconych przez matkę. Co będzie teraz z nami, pytają w Wydziale Opieki Społecznej Prezydium WRN rodzice 20-letniego kolejarza z Krzczonowa. Oboje mają po 60 lat, on jest inwalidą II grupy. Syn dojeżdżał do pracy w Lublinie, zarabiał nieźle, w domu zaś uprawiał trzy morgi ziemi. A co teraz?

I tak każdy. Z funduszów wojewódzkich zapłacono koszt trumien i przewiezienie zwłok na cmentarze wskazane przez rodziny zabitych w katastrofie, kilku rodzinom wypłacono też doraźne zapomogi pieniężne. To, oczywiście, nie jest w stanie wyrównać im straty. Nic nie jest w stanie wyrównać, ani złagodzić bólu ludzi, którzy zostali bez swoich głównych żywicieli, będą musieli przy pomocy społeczeństwa i większego wysiłku własnego jakoś urządzić się, na pewno żyć gorzej niż przedtem, ale żyć, u nas nikogo nie opuszcza się w nieszczęściu. Polak mieszkający stale w jednym z krajów zachodnioeuropejskich i już trochę nie rozumiejący spraw krajowych, z którym rozmawiałem o wypadku, był zdziwiony tą pomocą dla rodzin ofiar. W jego nowej ojczyźnie, jeśli człowiek nie jest ubezpieczony, nie może spodziewać się życzliwej dłoni nie znanych sobie ludzi. Ale to wszystko naturalnie nie zmniejsza dramatu, spowodowanego wypadkiem w Ćmiłowie.

Kierowcy obu samochodów, wraz z ocalałymi pasażerami pomagali ratować rannych. Dla kierowców taki wypadek, to też tragedia. Nie można powiedzieć dziś, jakie będą wyniki dochodzenia, kto zostanie postawiony w stan oskarżenia, kto skazany przez sąd. Poczucie winy nawet bez wyroku, nawet bez winy, może być brzemieniem ciężkim do udźwignięcia. Kierowca ciężarówki, 26-letni, nie mógł sobie przypomnieć numeru telefonu siostry, ani nazwiska zamężnej siostry. 33-letni kierowca autobusu w godzinę po wypadku nie potrafił odpowiedzieć po kolei, co robił od chwili wypadku. Trzeba było dać im silne leki uspokajające i przełożyć przesłuchania na następne dni. A przecież żaden z nich nie chciał tego, obaj byli dobrymi fachowcami, mieli dobre opinie. Wystarczyła chwila nieuwagi, nieostrożności, czy lekkomyślności, która tyle zmieniła w życiu ich i innych ludzi.

W redakcji byli i oponenci, gdy proponowałem ten temat. To nie na święta. Trzeba coś pogodniejszego, mówiono. Optymizm jest konieczny człowiekowi. Widzimy i słyszymy o tylu katastrofach, może nawet wyszliśmy z jakiejś cało. Żyjemy. Nie myślimy nigdy o tym, że my również moglibyśmy paść ofiarą wypadku.

Ile wypadków drogowych i z jakimi skutkami zdarzy się w czasie świąt? Lecz nawoływanie do ostrożności niewiele daje. Dlaczego jakieś nieszczęście miałoby się wydarzyć właśnie nam?

Kamena str. 5

Poezja czeska

Przekłady
K. A. Jaworskiego

Jerzy Wolker

Daleka ukochana

Wczoraj mnie odwiedziły
wszystkie gwiazdy,
— księżyc rozsiadł się w wielkim fotelu —
lecz kiedy zapytałem je w czasie rozmowy,
czy ktoś nie widział mojej ukochanej,
wszystkie wstały
i poszły jej szukać.

Odeszły aż do bardzo dalekiego kraju
i dlatego nie świecą mi już dzisiaj z nieba.
Deszcz wpada do komnaty i mrok w niej
nastaje,
w ciemności z każdą rzeczą rozłączyć się
trzeba:
z skrzypcami, z biblioteką, z moim starym
stołem,
Bóg dłużny mi jest dziewczę rumiane,
wesołe,
ukrył je gdzieś daleko.
Księżyc i gwiazdy to już przecież starcy,
myślę, że sił im nie starczy
dojść aż tam...

Muszę pójść sam.

JERZY WOLKER (1902—1924). Jeden z najświetniejszych poetów XX stulecia, przedwcześnie zmarły na gruźlicę. Pisarz o wysokiej postawie etycznej. Cechuje go niezwykła wrażliwość na nędzę ludzką i cierpienie człowieka. Umiłowanie ziemi, natury, nawet martwych przedmiotów. Towarzyszy temu wiara w nadejście nowej epoki miłości międzyludzkiej, w odrodzenie świata. Trzytomowe zbiorowe wydanie dzieł poetyckich Wolkera doczekało się kilkunastu wydań.

Józef Hora

Nad miastem

Pod sklepieniem platanów,
w zapachu letnich róż
wieczór barwny lampionów i muzyki
jak słodki ciepły deszcz nas zlewa.
Grajcie
szczęśliwych prostych ludzi tańce
barbarzyńskie,
grajcie
iluzje lekkie, które szumią niby grenadyna.

Tutaj, w parku nad miastem, które zmierzch
osnuwa,
szepcące spływa tchnienie
i piękno twarz swą zbliża,
kamienne pałace w dole straciły swój
ciężar
i drzew korony szumią,
czarujące koronki kulisy,
za którą noc gra z nami
swą sztukę zapomnienia.

Abyśmy nie wspomnieli
o próżnej ludzkiej pracy,
o czci jej utraconej
tam, w dole, i na całym świecie,
abyśmy nie wspomnieli
o rękach, które osłaniają,
o snach
nie śniących już o pięknie odpoczynku,
albo przeciwnie —
abyśmy nie wspomnieli
o snach tych, w których kowal
z rozkoszą w dłoni młot swój waży
krawiec jak cud do ręki
swą igłę bierze,
inżynier włącza prąd w maszynę,
co wyskoczyła mu z głowy,
albo malarz z uśmiechem
znajduje nowe kształty rzeczy.

Graj przeto, nocy,
graj nam swą krótką sztukę zapomnienia,
co spoi z wiatrem nas i nocą,
głęboki oddech nam daj,
abyśmy mogli uwierzyć,
że przynajmniej ta ziemia, która nas
wydała,
dla nas kwitnie i dla nas nie wysycha.

Albo też, aby wszystkim,
co piją białej skóry blask i blask klejnotów,
noc objawiła pełna gwiazd,
objawił sen, co nas nawiedza,
owe twarde obrazy, które tam, w dole, idąc
spotykamy.

Więc robotnika tego z Przedmieścia Wacława,
co z głodu stracił wstyd
i tarza się wraz z dzieckiem w kurzu,
co załamuje ręce przed biednymi
i nikczemnością ludzi płci obojga,
a wy mu pozwalacie, by to dziecko jadło
kurz,
plwociny i nienawiść.

A może to był ten,
któregom widział rano, kiedy szedł do pracy
całował swoją żonę
i podnosił wysoko to dziecko,
które się tutaj tarza w kurzu,
przeklęte przez niego i przez was.
Ten, który śpiewał, kiedy dotykał maszyny,
i towarzyszył pieśnią
czarnej muzyce swojej warsztatu.

Komu sprzedaliście to ludzkie szczęście —
pracować
tworzyć
i cieszyć się tą okrągłością rzeczy,
co wyszły z naszych rąk?

JOZEF HORA (1891—1945), redaktor, poeta, prozaik, tłumacz poezji rosyjskiej. Jeden z przywódców duchowych poezji międzywojennej i jeden z czołowych przedstawicieli generacji Czech odrodzonych. Niestrudzony bojownik o sprawiedliwość społeczną, autor licznych wierszy o tematyce socjalnej i rewolucyjnej. Ważniejsze pozycje: „Dzień pracujący" (1920), „Italia" (1925), „Struny na wietrze" (1927), „Dziesięć lat" (1929), „Ojczyzna" (1938), „Skrzypek Jan" (1939).

Karol Toman

Przedmieście

I słońca szkoda
dla zaniedbanych i biednych przedmieści
i płatku śniegu,
który wiruje w mdłym świetle latarni.

Brud i występek
ma na tym bruku rozkoszną siedzibę,
gdzie drzemie zbrodnia
i dzieci rosną co dzień na wyrzutków.

Tu, Jezu Chryste,
z cichym uśmiechem jeśli byś zabłądził,
cierniowy wieniec
na skroń by jeszcze ci głębiej wrażono.

Tu, misjonarko,
tu byś przybyła, aby głosić równość
i miłość ludzi!
Miła dziewczyno, innej szukaj niwy.

I słońca szkoda,
gdy czasem wpadnie do tych wszawych
kątów.
Wszystkiego szkoda,
tylko nie zemsty mikrobów w kanałach.

KAROL TOMAN (właściwe nazwisko Antoni Bernalek 1877—1946). Jeden z największych poetów czeskich XX wieku. Przeszedł drogę od indywidualizmu do zlania się ze społeczeństwem i narodem. Dorobek twórczy raczej ubogi, ale o poważnym ciężarze gatunkowym: „Baśnie krwi" (1898), „Zarys życia" (1902), „Droga melancholijna" (1906), „Godziny słoneczne" (1912), „Poezje" (1918), „Miesiące" (1918), „Głos ciszy" (1922), „Kalendarz stuletni" (1926).

Fráňa Šrámek

Ada, Minka, Marta

„Ada, Minka, Marta są głodne"
(napis na drzwiach celi nr 15
w praskiej dyrekcji policji)

Na żółtych kwiatach krwawa rosa,
ścieżka zdradliwie się toczy,
dziewczątka trzy idą, dziewczątka bose,
rosa się łasi, rosa je moczy,
serce na dłoni, sukienka trzepocze
ależ się śpieszą dziewczątka ochocze,
Ada i Minka i Marta.

Matuchna płacząc włosy im zaplata,
matuchna płakała chętnie,
gdzie się podziały moje młode lata —
matuchna śpiewała chętnie,
patrzcie, dziewczyny, jak to świat się hojda,
figę użyje na nim, kto niedojda,
Ado i Minko i Marto.

Cykorie modre skarżą się nad drogą,
miasto w oddali ściele rude dymy,
dajcie, dziewczyny, nieść się młodym nogom,
mądrzy pić idą, chodźmy razem z nimi —
w głowie się kręci, gorące są głosy,
kto wam uczesze jutro rano włosy,
Ado i Minko i Marto...

Kruche kieliszki, toasty brzmią chutnie —
pić; cóż sumienie, wiwaty co słowo!
Łóżko jest z róży, myśmy zdjęły suknie,
łóżko jest z cierni, chcemy się całować,
miłość jest wielka ponoć, miłość — cnota,
lecz jak dojść do niej poprzez tyle błota,
Ado i Minko i Marto.

Droga jest śliska, a ludzie są obcy,
wczoraj znajomy, dziś się wstydzi nieraz.
Coś się tam stało i rzucają chłopcy.
I tak jest ciężko żyć wśród ludzi teraz.
Urok północy o południu straszy,
serce, o gdzieś ty? gdzieś ty serce nasze?
Ado ma, Minko i Marto...!

Jak ziębią noce i drży się bezradnie.
Zimno w tych łaszkach wam, dzieciny, latać?
Ślepa uliczka, uliczka ostatnia.
Baranku boży, co gładzisz grzechy świata!
Rzeka łka w dole, a baranek milczy,
z ciemności kłapią tylko szczęki wilcze,
Ado ma, Minko i Marto...!

Z przeszłości wraca jeden sen czerwony,
chrapliwym głosem jeszcze śpiewać można.
Pijany chłopcze, ty mi ogrzej łono,
psia krew, przyciśnij mnie, rozkoszy doznam!
Panie dozorco, wy przynajmniej wiedzcie:
Upadły nisko. Były piękne przecież
Ada i Minka i Marta.

Chodzę po celi wśród cierni i głogów.
Pijane trzy, bełkocą straszne głosy:
poeto głupi, ty na miłość Boga,
złotym grzebieniem uczesz nasze włosy,
w środku przedziałek, ścieżyneczka biała,
jakbyś swą miłą czesał, uczesz śmiało
Adę i Minkę i Martę.

FRÁŇA ŠRÁMEK (1877—1952). Poeta, nowelista, powieściopisarz i dramaturg. Zrazu indywidualista i anarchista, piewca smutku proletariackiego, melancholii, włóczęgi, młodości, wiosny, zmysłowej miłości i pogańskiej rozkoszy życia. Później wyzbywa się postawy anarchistycznej, odtąd w jego wierszach pobrzmiewa miłość do ludzi, do rodzinnego kraju, poczucie wspólnoty z ojczyzną i wiara w jej przyszłość. Najważniejsze pozycje poetyckie: „Nędza życia, czemu cię kocham" (1903), „Upust" (1916), „Poezje" (1926), „Nowe poezje" (1933).

Hanuš Bonn

Nad brzegiem rzeki Styks

Jak wytrącone ze snu węże
wyciągnęły się po mnie ręce smutnych wód
i o me srebro łapczywie się biły

Teraz tu stoję
żebrak z ostatnich groszy obłupiony
przewoźnik próżno na mnie patrzy

Złowieszczo milczy noc
i rzeka tchnie ciemnością
czas o skały uderza

Aż płomień skruchy
rzuci mnie na kamienie

Samotności wieczna!

HANUŠ BONN (1913—1941), przedwcześnie zmarły poeta, tragiczny w swej poezji i życiu. Zmarł w obozie koncentracyjnym w Mauthausen.

Koleżanka

Waldemar Babinicz

21 kwietnia br. minie rok od śmierci Waldemara Babinicza, wybitnego literata, pedagoga i działacza kulturalnego, przez wiele lat związanego z Lubelszczyzną. Niżej publikujemy z teki pośmiertnej jedno z jego ostatnich opowiadań.

Drogi Wychowawco,

łzami oblałam papier, zanim zdecydowałam się go wypełnić tymi słowami. Nie są one słodkie, choć się pozornie inaczej wydaje, ale szczere i prawdziwe. Nie pisałam od przeszło roku i pewnie, drogi wychowawco, spodziewasz się, że udało mi się odmienić pół świata i że właśnie w słowach poniższych opiszę metody, jakie stosowałam w tej swojej pracy wychowawczej i kulturalnej w moim środowisku. Ale rzeczywistość jest inna, drogi wychowawco. Rzeczywistość sprawiła, że nagle pozostałam bez żadnej opieki domowej, bez ojca i matki i musiałam pójść do obcych ludzi w charakterze... Nawet nie wiem, jak to powiedzieć. Ale trudno, przyrzekłam, że będę pisała prawdę. Więc jestem już od dziesięciu miesięcy pomocą domową. Potraktowałam to zajęcie jako chwilowe, bo dosłownie nie miałam się gdzie podziać, gdyż tak zwani krewni rozdrapali piorunem całą gospodarkę i musiałam się ulotnić pod gościnny dach państwa A., żeby, zachowując incognito, okryć się i obuć, a potem zacząć inne życie.

Więc przystępuję do opisania mojej pracy i moich aktualnych stosunków rodzinno-służbowych.

Pani A. przyjęła mnie z otwartymi ramionami, zaprowadziła do pięknie umeblowanego pokoju i oświadczyła, że tytułem odszkodowania za stracony czas i poniesione trudy otrzymywała będę 850 zł miesięcznie plus pełne doskonałe wyżywienie, plus pokoik przy kuchni, opał, światło. Pani A. wyliczyła przy tej okazji, że pensja ta równa się pensji wysokiego urzędnika, mogę bowiem w całości odkładać gotówkę, gdyż utrzymanie jest pierwszorzędne, a traktowanie jeszcze lepsze, i że po dwóch latach mogę sobie zaoszczędzić ładną sumkę na posag czy na kupno skromnej nieruchomości. Więc na to ja wstałam i podziękowałam bardzo uprzejmie. Ale pani A. posadziła mnie siłą na fotelu i zapowiedziała, że łączyć nas będą stosunki koleżeńskie, że mam ją, panią A., nazywać przy ludziach zawsze koleżanką Lidią, a kiedy się zaprzyjaźnimy, będziemy mogły sobie mówić po prostu ty. Zrobiłam się czerwona i było mi bardzo głupio, wprost nie mogłam wypowiedzieć tych słów: koleżanko Lidio, bo pani A. jest ode mnie o tych kilkanaście lat starsza, jest wykształcona i w ogóle. Ale to był jej pierwszy warunek. Kiedy po długich oporach się zgodziłam, pani A. poczęstowała mnie dobrą, mocną herbatą i opowiedziała, że dzisiejsza pomoc domowa nie ma nic wspólnego z przedwojennymi służącymi. Dawniej służąca była popychadłem, nie liczyła się w ogóle ani w domu swoich państwa, ani w społeczeństwie. Dziś natomiast jest inaczej: pomoc domowa jest ważnym, niezastąpionym członkiem rodziny, z jej głosem liczą się wszyscy domownicy, jej praca wpływa na podniesienie produkcji, dochodu narodowego i wzrostu kultury.

Dawniej rola służącej była dwuznaczna. W tym miejscu pani, czyli koleżanka Lidia, zapowiedziała, że osobiście zaprowadzi mnie do teatru na znakomitą sztukę Zapolskiej „Moralność pani Dulskiej". Ja jednak podziękowałam i oświadczyłam, że byłam na tej sztuce w Krakowie z moim drogim wychowawcą i pamiętam każdziutkie słowo, bośmy nieźle tę rzecz omówili i przedyskutowali. Pani, czyli kol. Lidia, zdziwiła się bardzo i głęboko się nad moją odpowiedzią zamyśliła. W końcu machnęła ręką. — No właśnie — powiedziała — więc sama koleżaneczka widzi, jak to dawniej bywało, ale to są tempi passati. (Po skończonej rozmowie zapisałam sobie te słowa, bo tak nas uczyłeś, drogi wychowawco, abyśmy zapisywali te obce słówka, które nam tyle kłopotów sprawiają w zetknięciu z ludźmi wykształconymi).

Dawniej, tłumaczyła mi pani, czyli kol. Lidia, służąca otrzymywała hańbiące człowieka napiwki. Dziś takie coś nie jest wprost do pomyślenia i żaden gość nie ośmieli się mi ubliżyć, a goście w domu państwa A. bywają dość często na brydżu, i że małżonek kol. Lidii jest świetnym brydżystą, co nie powinno mnie do niego zniechęcać. Na to ja oczywiście odpowiedziałam, że u nas na kursie było kilku dobrych brydżystów i że ja też próbowałam grać, ale z miernym skutkiem. Pani się zdziwiła i już nic na ten temat więcej nie dodała. Natomiast bardzo obszernie wytłumaczyła, na czym polegać będą moje obowiązki jako nowego członka rodziny. Było tego sporo, więc żeby nie zapomnieć, zaczęłam notować, ale kol. Lidia grzecznie lecz stanowczo odebrała mi notes z rąk i powiedziała, że takich rzeczy się nie notuje, trzeba je umieć zapamiętać, i że chyba nie jestem przez nikogo nasłana. Zaprzeczyłam kategorycznie i rozmowa potoczyła się nadal gładko. Pani, czyli kol. Lidia, wytłumaczyła mi, że przed wojną w każdym domu były nocniki i że do obowiązków tak zwanych służących należało ich wynoszenie. Dziś zajęcie takie również jest uznane za hańbiące i państwo A. nigdy nie posuną się do tego, aby mi zaproponować wykonywanie takich świństw. Może się jednak zdarzyć, że koleżanka lub kolega zachorują, wtedy sama powinnam rozumieć... W tym miejscu, drogi wychowawco, zrobiło mi się słabo na myśl, że musiałabym takie coś robić, ale się zaraz pocieszyłam, że państwo A. nie muszą przecież chorować i może do tego hańbiącego zajęcia nigdy nie dojdzie. Później koleżanka Lidia wyjaśniła mi, że muszę każdy wydatek notować w zeszycie i, jak w innych przedsiębiorstwach, wyliczać się z każdego grosza. Otrzymałam gruby brulion i musiałam na oczach pani dokonać kilku zapisów. Na szczęście przerabialiśmy trochę tej księgowości, wiem, jak się wypełnia „winien" — „ma", jak należy wypisać rachunek i pokwitowanie. Więc mi się te wiadomości przydały. Koleżanka Lidia była po prostu zachwycona. Później zapytała, czy i ja mam jakieś życzenia. Odpowiedziałam z całą szczerością, że przyzwyczajona jestem do czytania gazet i periodyków, lubię teatr TV. Koleżanka się uśmiechnęła, poklepała mnie po ramieniu i przyrzekła, że jakoś to będzie. Na tym zakończyła się nasza wstępna rozmowa informacyjna, koleżanka Lidia przeszła do swojego pokoju, a ja ulokowałam się dość szybko we wnęce przy kuchni i natychmiast przystąpiłam do sprzątania, albowiem dom był bardzo zapuszczony i kurze nie ścierane chyba od miesiąca.

Drogi wychowawco, opisałam pokrótce mój pierwszy dzień pracy. Dziwisz się, że tak dobrze pamiętam? A ja przecież notuję, jak nas uczyłeś, nawet i wtedy, kiedy naprawdę jestem zajęta od rana do nocy. Teraz przystąpię do opisywania rzeczywistości. Gdybym pominęła tę swoją pierwszą rozmowę z panią A., mógłbyś pomyśleć, drogi wychowawco, że praktyka szła w parze z teorią. Proszę osądzić, ja na razie poprzestanę na opisie gołych faktów. Wspomnę tylko, że to poufałe słowo koleżanka bokiem mi wylazło jeszcze tego samego dnia. Cały dzień w domu rozlega się „koleżanko Halu, koleżanko Halinko, koleżanko, koleżanko..."

Jeszcze się cofnę do jedzenia. Pani, czyli kol. Lidia, oświadczyła, że obiady będziemy jedli wspólnie, kolacje jak się ułoży, a śniadania każdy sobie. Ale przy tym pierwszym obiedzie z trudem połykałam kęsy. Pan dyrektor bez przerwy spoglądał w moją stronę, a kol. Lidia ciągle powtarzała: „Bardzo ładnie jesz Halinko. Któż to ciebie nauczył?". Nazajutrz oświadczyłam, że wolę jeść sama, ale państwo podnieśli taki raban, że musiałam ustąpić. — Jesteś niewdzięczna. My do ciebie z sercem, po przyjacielsku, a ty zaraz się obrażasz. — Może i tak — po-

Rozwody raz jeszcze

Fot. A. Polakowski

Dokończenie ze str. 1

ŚWIADEK MĘŻCZYZNA: — Awantur o pieniędze nie było, czasem tylko się posprzeczali. Alkoholik to nie jest, ale czasem popije, jak to chłop. Dziecku do przedszkola to wciąż nosi pomarańcze i chałwę. Co do mebli...

SĄD: — Tu nie meble najważniejsze, ale czy dziecko jutro i pojutrze będzie miało co jeść i jaka będzie jego przyszłość.

Sprawa druga

SĄD: — Czy pozwany zgadza się na orzeczenie rozwodu z jego winy?

ON: — Powiem, jak Sąd przesłucha świadków.

SĄD: — Ale dwóch najważniejszych świadków nie stawiło się. Więc czy pozwany zgadza się?

ON: — Ten świadek chodzi z moją żoną i powiedział, że załatwił w Sądzie i w ogóle nie dostanie wezwania.

SĄD: — Głupstwa gada, tu jest pokwitowanie odbioru wezwania.

ONA: — Latem wykradł mi dziecko, ale to miał być szantaż, abym się zgodziła na rozwód, bo on ma inną. A gdy odbierałam dziecko, to powiedział, że prędzej będzie ziemię gryzł, niż grosz zapłaci.

SĄD: — Zastanówcie się oboje, co temu wszystkiemu jest winne małe dziecko.

Sprawa trzecia

ON: — Poznałem żonę jak byłem na delegacji w Ch. Po dwóch miesiącach wzięliśmy ślub, to było, zdaje się, w 1965 roku...

SĄD: — W grudniu 1967 roku.

ON: — Może być. Miesiąc po ślubie poszedłem do wojska. I ona zaczęła mnie zdradzać. Jak wróciłem, to właśnie ona urodziła dziecko, ale nie moje. Zaraz następnego dnia ten ojciec jej dziecka i jego ojciec urządzili z nią zaręczyny i nawet mnie zaprosili. A przecież to była oficjalnie moja żona, chociaż od pierwszego urlopu z nią nie żyłem. A w ogóle to ona nie chce pracować, mówi, że to tylko moja sprawa.

ONA: — Ja mam tylko szkołę podstawową i pracy umysłowej nie dostanę. Fizycznie nie mogę pracować, bo mam chorobę serca.

SĄD: — Jaką?

ONA: — Taką normalną. A Beata to jego córka, ta druga rzeczywiście nie. Z tamtym to było tylko dla hecy, ani z nim ani z nikim nie żyję.

SĄD: — Sądowi wydaje się jednak, że powódka jest w daleko posuniętej ciąży.

ONA: — Nie wiem, nie byłam u doktora. W maju to on przyjechał, niby był dobry, żyliśmy, ale po tygodniu taksówką przyjechała jego przyjaciółka i zabrała go. Proszę o rozwód i niech płaci alimenty po 350 zł miesięcznie na tę pierwszą córkę.

Sprawa czwarta

ON: — Poznaliśmy się na prywatce. Mówiła, że jest studentką, więc ja też mówiłem, że studiuję, chociaż pracowałem w fabryce.

SĄD: — Powód pracował wszystkiego dwa tygodnie i to grubo przed tą prywatką. A z czego potem żył?

ON: — U rodziców. Na tej prywatce tańczyliśmy, wypiliśmy trochę sikacza, przepraszam Wysoki Sąd — wina owocowego, ale nic między nami nie było. Potem odprowadzałem ją do domu przez park i w tym parku to ona zaczęła. Wysoki Sąd jest dorosły i to rozumie, nie mogłem się zbłaźnić. Jak mi później powiedziała, że jest w ciąży, to uwierzyłem, że to moja wina i ożeniłem się. Potem okazało się, że ona od dawna wieczorami chodziła do „Lublinianki", a tam to Wysoki Sąd wie...

SĄD: — Sąd nie chodzi wieczorami do „Lublinianki" i nie wie. A w ogóle to Sąd interesuje się życiem małżeńskim stron, nie kawiarnią.

ONA: — Żadnego życia nie było, tylko trochę na początku. W tym parku to właściwie mnie zgwałcił, ale wstydziłam się powiedzieć rodzicom. Zresztą rodzice nie bardzo się interesowali moją osobą. Więc wzięliśmy ślub potajemnie...

SĄD: — W Polsce nie istnieją żadne potajemne śluby. Strony zgłosiły się dobrowolnie do urzędu stanu cywilnego.

ONA: — Ja rozumiałam przez to, że o ślubie nie wiedzieli ani jego rodzice ani moi. Przyszliśmy już z papierkiem w ręku, że jesteśmy małżeństwem. Moi rodzice urządzili tragedię, jego trochę pogadali, a potem jakoś było, każdy dalej mieszkał u swoich. Bo on nie miał ani grosza na mieszkanie i pracować też nie chciał. Takie małżeństwo to zawracanie głowy, on wciąż podrywa inne dziewczyny, udaje studenta, więc proszę o rozwód.

ON: — Chyba już tydzień po ślubie ona zaczęła znowu wieczorami chodzić do „Lublinianki". Ja rzeczywiście dwa razy zdawałem na studia, najpierw chciałem zostać lekarzem, potem inżynierem, bo można lepiej zarobić. Ale nie przyjęli, to co mam robić?

SĄD (nieco zdenerwowany): — Albo rzeczywiście uczyć się przed egzaminami, albo chociażby sprzątać śnieg, też można zarobić, na alimenty na pewno wystarczy. Małżeństwo i dziecko to poważne obowiązki. Obie strony tego nie rozumieją.

Trochę statystyki

Udzielono rozwodów w całej Polsce w latach: 1960 — 14.828, 1966 — 24.382, 1967 — 27.016, 1968 — 29.399.

Udzielono rozwodów w woj. lubelskim w latach: 1960 — 359, 1966 — 874, 1967 — 954, 1968 — 913, 1969 — 1122.

Liczba orzeczonych rozwodów jest ponad dwa razy mniejsza niż liczba spraw wniesionych do sądów. W ub. roku w woj. lubelskim sąd w 300 przypadkach wyraził zgodę na zawarcie małżeństwa przed osiągnięciem ustawowego wieku, prawie wyłącznie z powodu daleko posuniętej ciąży.

Jak podaje rocznik GUS, w 1966 roku na tysiąc mieszkańców udzielono rozwodów: Kanada 0,51, Holandia 0,55, Francja i Norwegia 0,71, Polska 0,77, Australia 0,85, Austria 1,19, Rumunia 1,35, Dania 1,40, USA 2,52, ZSRR 2,8. A w woj. lubelskim 0,46, w tym w miastach 1,12, na wsi 0,22. W tym samym roku w województwie zawarto 13.200 małżeństw, czyli rozwody stanowiły 6,62 proc. zawartych małżeństw.

Dyskusja

Przed kilkunastu dniami Towarzystwo Krzewienia Kultury Świeckiej w Lublinie urządziło w klubie Stronnictwa Demokratycznego zebranie dyskusyjne, podczas którego dużo mówiono o projekcie ustawy na temat tzw. pasożytniczego trybu życia, przestępczości nieletnich, sprzedaży alkoholu, rozwodów — zwłaszcza młodych małżeństw.

Doc. dr Zdzisław Cackowski — pominę tu inne jego wywody — był zdania, że dwa są główne powody kłopotów z młodzieżą, a zwłaszcza z młodymi małżeństwami: 1) brak przygotowania i do życia zbiorowego i do współżycia we dwoje, 2) brak przygotowania do funkcji rodzicielskiej. Młodzi ludzie nie rozumieją, chociaż niektórzy starsi także nie, że zasadnicza funkcja rodziców polega nie tylko na biologicznym powołaniu do życia nowej istoty, ale przede wszystkim na jej wychowaniu i ukształtowaniu tej istoty na prawdziwego człowieka.

Lekarz-psychiatra Teresa Buk stwierdziła, że jeżeli chodzi o małżeństwa to najwięcej konfliktów jest właśnie wśród młodych małżeństw. Przyczyny różne: alkoholizm, wspólne mieszkanie z rodzicami, praca zawodowa żon, które potem nie dbają o swój wygląd w domu, co niemal automatycznie pcha męża w ramiona innej. No i brak uświadomienia seksualnego wśród młodych mężczyzn.

Porównywanie statystyk z różnych krajów jest częściowo złudne — twierdził doc. dr Mieczysław Marczuk. — Przemiany w funkcji ekonomicznej rodziny w państwach zachodnich nastąpiły wcześniej. Teraz następują u nas: znaczna część kobiet, mając swój zawód, usamodzielniła się, po prostu może odejść stwarzając sama sobie warunki do życia. A która rodzina była lepsza: ta dawna, żyjąca pozorami, a w domu przeżywająca piekło, czy dzisiejsza, gdy może kulturalnie rozejść się? Rzecz w tym, że istnieje konieczność podniesienia w całym społeczeństwie szeroko pojętej kultury.

Chodzi nam nie tyle o zmniejszenie liczby rozwodów — wyjaśniał wiceprezes TKKS Stanisław Nowak — ile o zmniejszenie liczby lekkomyślnie zawieranych małżeństw, o zmniejszenie przyczyn tego niewątpliwie ujemnego zjawiska.

W szkołach robimy dużo, aby podnieść poziom życia kulturalnego w ogóle, dużo wysiłku wkładamy w wychowanie, chociaż zapewne nie wszędzie jest najlepiej — wywodził wicekurator Witold Kowalski. — Ale powiedzmy sobie prawdę, że telewizja, radio i część prasy oddziaływa pobudzająco na młodych. Mnie już pytali młodzi ludzie: a gdzie mamy pójść... z rozbudzonymi zmysłami? Jak często kończy się to małżeństwem, lekkomyślnie zawartym w pierwszym porywie zmysłów a nie prawdziwego uczucia, co młodzież często myli. Do młodzieży muszą przemawiać ludzie mądrzy, znający życie, bo inaczej zostaną nazwani „wapniakami", ostatnio zresztą mówi się „sarkofagami".

Jest obawa — wyraził się na zakończenie dyskusji ostrożnie doc. dr Z. Cackowski, prezes TKKS — czy z zakładu nauczania i wychowania szkoła nie przekształciła się w manufakturę nauczania. Ale to trochę inny temat, chociaż łączy się z tym, o czym mówimy. Jesteśmy zgodni, że szeroko pojęta akcja wychowawcza musi obejmować także przygotowanie do życia małżeńskiego. Wyłaniają się tu dwa podstawowe pytania: 1) jakie cechy trzeba wpoić młodym ludziom, a zwłaszcza, co powinni wiedzieć kandydaci na małżonków, 2) co wobec tego trzeba zrobić. Znalezienie prawidłowych odpowiedzi to ustalenie konkretnego programu działania. Tu muszą zasiąść do wspólnej pracy lekarz, psycholog, pedagog, socjolog, moralista, działacze polityczny, społeczny i gospodarczy.

Poseł Józef Czapski zwrócił uwagę, że sprawa lekkomyślnie zawieranych małżeństw i potem rozwodów młodzieży to tylko część problemu wychowania młodzieży w ogóle. Poważnym zagadnieniem jest przestępczość nieletnich. Według badań jednego z instytutów ONZ przestępczość nieletnich w Polsce jest znacznie niższa niż np. w USA, Wielkiej Brytanii, Szwecji, Norwegii czy Japonii. Co nie zmienia faktu, że u nas fala tej przestępczości wzrasta i nie wolno na to zamykać oczu, by nie okazało się potem, że zbyt późno podjęliśmy przeciwdziałania. Jak wynika z badań Instytutu Prawniczego PAN, 77 proc. nieletnich przestępców nie ukończyło szkoły podstawowej, a połowa dorosłych przestępców to dawni przestępcy nieletni.

Uwagi końcowe

Jak widać, w szerokim problemie wychowania młodego pokolenia coraz bardziej narasta zjawisko rozwodów, a właściwie lekkomyślnego zawierania małżeństw przez młodych, nie przygotowanych do życia ludzi. Tu należy myśleć: brak konkretnego zawodu, niechęć do nauki, brak uczciwości wobec innych, zbyt małe poszanowanie drugiego człowieka, lekkomyślność, papugowato powtarzane powiedzonko — teraz są inne czasy, a jakie często dwulicowe postępowanie starszych.

W nowym kodeksie rodzinnym opuszczono stwierdzenie, że sąd może udzielić rozwodu tylko „z ważnych powodów". Ludzie najczęściej rozchodzą się z powodów rzeczywiście błahych, ale to rozejście potem utrwala się. Prawnicy powiadają, że nie można udzielić rozwodu, gdy jeden z małżonków poniesie rażącą krzywdę, gdy dobro dziecka jest poważnie zagrożone, gdy rozwód staje się premią za złośliwość czy nawet chamstwo jednej ze stron.

Ale to łatwo napisać, jeszcze łatwiej powiedzieć. Ustalenie przez sąd faktycznych przyczyn rozkładu pożycia małżeńskiego nie jest łatwe, zwłaszcza, że wielu nie mówi przed sądem prawdy, ujawnia nie istotne, a poboczne przyczyny rozejścia się.

Sąd to jednak ostateczność. Chodzi o to, aby tych spraw do sądu trafiało możliwie najmniej. Tylko — jak to osiągnąć?

Jerzy Dostatni

---

myślałam sobie w duchu. — Przecież nie wiem, jak powinna się zachowywać współczesna pomoc domowa, bo nie szykowałam się do pełnienia tej funkcji.

Obiady przeze mnie gotowane nie były wykwintne, ale smaczne i zdrowe, tak przynajmniej ocenił pan dyrektor, czyli kolega Dominik. Ten kolega miał zwyczaj zadawania mi różnych pytań z różnych dziedzin i to zaraz po obiedzie. Z początku myślałam, że to należy do ceremoniału domowego, ale po kilku dniach przekonałam się, że jest inaczej. Pan dyrektor po prostu chciał zbadać moją inteligencję, wyciągnąć ode mnie moje poglądy, ale ja się szybko zorientowałam i obracałam wszystko w żart. Panu się to podobało, pochwalił mnie: „Sprytna jesteś, bestyjka" i wybuchnął śmiechem. Jakie były skutki? A takie, drogi wychowawco, że pani, czyli kol. Lidia, zaprosiła mnie na poufną rozmowę i powiedziała dosłownie: „Moja droga, nie życzę sobie, abyś szczerzyła zęby do mego męża. Pan dyrektor jest twoim chlebodawcą i o tym powinnaś stale i wciąż pamiętać". Zrobiło mi się gorąco, a potem cała zlodowaciałam, ale nic nie odpowiedziałam. Więc pani się udobruchała i powiedziała, że jestem strasznie naiwniutka i że lepiej będzie dla mnie i dla nich, dla państwa znaczy, jeżeli będziemy jedli osobno. Bardzo chętnie się zgodziłam. Ale znowu pani dodała, że jak do państwa A. przyjdzie pewna osobistość, to będę znowu poproszona do stołu, tylko muszę się wtedy starać, aby nie mówić za dużo i do tej osobistości odzywać się per towarzyszu. W lot zrozumiałam, o co chodzi i rozstałyśmy się w przyjaznej atmosferze. Pani podarowała mi krem do twarzy i byłam bardzo zadowolona, bo to był krem naprawdę wysokiej jakości.

Nadeszła pierwsza sobota. Do państwa A. przyszło kilku panów i jedna niesłychanie wesoła pani. Przyszła do mojego pokoiku, kazała sobie pokazać wszystkie sukienki i bieliznę. Pokręciła głową. — Taniocha — powiedziała — musisz mieć przynajmniej dwie pary reprezentacyjnych dessous. Postaram się dla ciebie. Trochę cię to będzie kosztowało, ale będziesz się mogła poszczycić, że nosisz zagraniczną bieliznę. Zresztą możesz mi spłacać ratami. — Podziękowałam, ale nie wylewnie, bo i po co mi, drogi wychowawco, w moich obecnych warunkach zagraniczne dessous, prawda? Ale nie wypadało odmawiać. Ta wesoła pani przygroziła mi na odchodne, nachyliła się i powiedziała ni stąd ni zowąd: „Trzymaj się, mała, jesteś niebrzydka. Uważaj". Nie zrozumiałam tego ostrzeżenia wówczas. Podałam kolacyjkę, ustawiłam stolik do kart. Zaczął się brydż. — Jak gramy? — zapytał najstarszy gość. A drugi: — Mam ochotę dziś po „Przekroju". — Wspaniale — zawołał mój pan, czyli kolega Dominik, a ja wybuchnęłam śmiechem. Koleżanka Lidia spojrzała na mnie przeciągle, zmroziła mnie, więc stanęłam sobie nieco dalej, bo strasznie chciałam zobaczyć, na czym ta gra polega. Znam doskonale „Przekrój" i prof. Filutka, myślałam, że to coś z tej dziedziny, jakiś kawał. Dopiero nad ranem dowiedziałam się, że panowie grali po 3 zł punkt. Słyszysz, drogi wychowawco? Powiedziałam, że grali do rana. To była moja pierwsza noc, którą przedrzemałam, nie rozbierając się... Rano goście odchodzili, a kol. Lidia przyszła po mnie, abym ich obsłużyła i sprzątnęła. I co się stało? Wszyscy panowie wciskali mi do ręki banknoty, było tego w sumie może osiemdziesiąt, może sto złotych, nie liczyłam. Powiedziałam, że napiwków nie biorę, że to pomyłka. A oni w ryk. — To Lidka ją tak nauczyła. Fajna mała. No, bierz, bierz, my napiwków nie dajemy, to jest zwrot kosztów za nadliczbowe godziny, jasne? — Ale nie chciałam wziąć, więc oni zostawili pieniądze na stoliku w hallu, a ja szybko posprzątałam i poszłam spać, bo już ledwie trzymałam się na nogach. Cóż, kiedy raniutko pani mnie obudziła i zapowiedziała, że będziemy mieli gości na obiedzie. Więc ja, że dziś niedziela i że powinnam mieć dzień wolny, bo tak było w umowie, a ja jestem potwornie zmęczona. Na to pani: — Koleżanko, koleżanka jest tu na prawach członka rodziny. Może się zdarzyć, że koleżanka otrzyma urlop na tydzień lub na dwa, ale dziś jest sytuacja wyjątkowa i koleżanka powinna nas też zrozumieć. — Zrozumiałam, bo co miałam robić? I w tym momencie pani położyła na mojej kołdrze sześćdziesiąt złotych, wyjaśniając, że to za nadliczbowe godziny. Zerwałam się i tak jak stałam pobiegłam do hallu, gdzie zostawiono ub. nocy sto złotych, których nie przyjęłam. Pieniędzy nie było. Zdumiewające, prawda? Ten wypadek dał mi dużo do myślenia, drogi wychowawco...

O tych brydżystach złego słowa nie mogę powiedzieć: zachowywali się uprzejmie, wypili bardzo mało. Co się tyczy natomiast owego pierwszego za mnie obiadu proszonego...

Przyszło kilka osób: panie, panowie. Bardzo głośne towarzystwo. Kol. Lidia zapowiedziała mi, że będę siedziała przy wspólnym stole, muszę, oczywiście, podawać, jak podają młodsze siostry. Zapytałam, który z tych panów jest ową osobistością i czy muszę go tytułować towarzyszem, na co pani wybuchnęła śmiechem, aż ją chciałam walić w kark, bo o mało się nie udusiła. — Niech koleżankę Bóg broni — zawołała i pobiegła do męża, aby się z nim zapewne podzielić moją niezręcznością... Pani przedstawiała mnie wszystkim swoim gościom kolejno, mówiąc: — To jest koleżanka Halinka. — Ja się kłaniałam, a oni podawali mi rękę, mówiąc: — Bardzo mi przyjemnie, koleżanko — i oglądali mnie uważnie od stóp do głowy, jakbym była nie wiedzieć kim. Zaczął się obiad. Podałam przystawki, a pan przyniósł z lodówki kilka butelek i sam nalał do kieliszków. Mnie również, chociaż się broniłam. Ale ci goście zaczęli perswadować: — Koleżanko, tak nie można, jak wszyscy, to wszyscy, koleżanko, koleżaneczko, prosimy, prosimy... Wypiłam jeden. Wtedy oni: — Brawo, brawo. Ho, ho, dobra szkoła. I zaczęli się zgrywać. Ja nic. Poszłam po zupę. W kuchni zastanawiałam się, czy usiąść, czy też pod jakimś pozorem nie wracać do stołu, bo widziałam, co to za towarzystwo i na co się zanosi. Ale oni już na mnie nie zwracali uwagi, tylko pili coraz więcej i dochodzili się o różne jakieś sprawy. Nie przysłuchiwałam się, a zresztą wcale mnie to nie interesowało. Tak było do deseru. Przy deserze oni znowu: — Koleżanko, tak nie można, koleżanka nami gardzi itd. w ten deseń. Oczywiście odmówiłam i poszłam do kuchni. Wtedy się zaczęło. Co minutę słyszę: — Koleżanko, proszę na chwilkę. — Przychodzę, a oni: — Koleżanka gardzi? Czy tak? — Ja do kuchni, a oni znowu: — Koleżanko, koleżanko, koleżaneczko. — Wobec tego zwróciłam się do swojej pani, czyli do kol. Lidii, z prośbą, aby mnie wzięła w obronę. A ona: — Nie bądź taka ważna, koleżanko. Korona ci z głowy nie spadnie. I w tym miejscu wyraziła się wstrętnie, nie do powtórzenia, na temat mego panieństwa. Ja w nogi, zamknęłam się i w płacz. A oni ustawili się pode drzwiami i śpiewają na różne głosy: „Koleżanko, koleżanko". To już było nie do zniesienia. Otworzyłam szeroko drzwi i zawołałam: — Nie jestem waszą koleżanką, jak nie potraficie uszanować człowieka, to mogę stąd w tej chwili odejść. Na to pani, czyli koleżanka Lidia, zasypała mnie gradem przekleństw. Czegoś takiego w życiu nie słyszałam. Żeby kobieta inteligentna, wykształcona i w ogóle... Straszne. Wynieśli się wszyscy do pokojów, a ja zaczęłam się pakować. Nagle wchodzi pani i jak gdyby nic zaczyna do mnie słodkim głosem. Ja milczę. Trwa to parę minut, wreszcie ona pada przede mną na kolana (drogi wychowawco, nic a nic nie przesadzam, ani dodaję!) i zaczyna tłumaczyć, że ona jest już taka, że jak wypije kilka kieliszków, to staje się dzika i nieodpowiedzialna, ale że ja nie postępuję po koleżeńsku, między koleżankami może być różnie. I tak długo, aż mi się zrobiło jej żal. Ledwie ją uniosłam i popłakałyśmy sobie razem, a ona wzięła ode mnie uroczyste słowo, że nie będę jej pozwalała nigdy, przenigdy pić alkoholu, ale to żadnego. Przyrzekłam i rozstałyśmy się w zgodzie...

Wkrótce potem pani wyjechała do Warszawy na cały tydzień. Zostałam sama, bo pan, czyli kol. Dominik, przychodził tylko na wieczór, jadał gdzieś tam obiady u znajomych, nie obchodziło mnie wcale. Było spokojnie. Aż pewnego wieczoru woła mnie ze swego pokoju. Przychodzę. — Słucham? — Źle się czuję — powiada — niech mi koleżanka da kompres. Zmoczyć dobrze w zimnej wodzie. — Przyniosłam. On marudzi, że to, że owo, żebym mu sama ten kompres położyła. Więc mu kładę na głowę, a on, że nie głowa go boli. — A, jak tak — powiadam — to niech sobie pan sam. I wychodzę. Wtedy on zaczyna różne rzeczy pleść o mo-

Ciąg dalszy na str. 8—9

Akt-przełomowy

Maria Bechczyc-Rudnicka

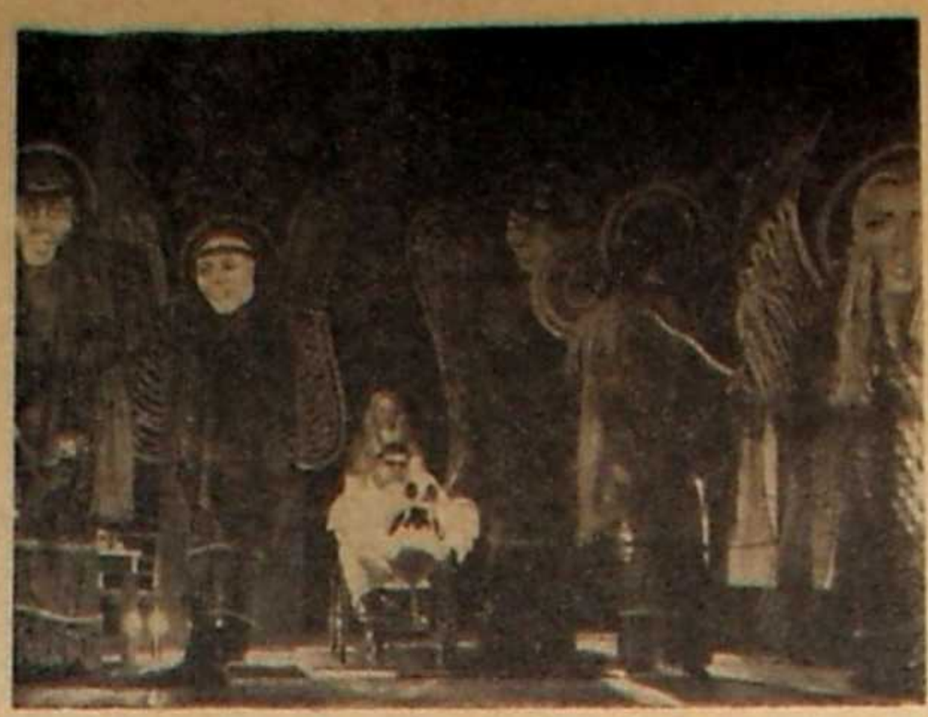

Tadeusz Różewicz — „Akt przerywany". Scena z II cz. inscenizacji.
Fot. W. Parys

PRAPREMIERĘ „Aktu przerywanego" Różewicza na scenie Teatru im. J. Osterwy można chyba uważać za ewenement artystyczny w skali ogólnopolskiej. I za triumf TEATRU w ogóle, wówczas gdy się mówi namolnie, jakoby się skończył.

Ci, co czytali „Akt przerywany", który „Dialog" opublikował w styczniu 1964 r., zdają sobie sprawę, iż jest to nie „komedia niesceniczna", tylko po prostu nie komedia, ale esejoscenariusz.

Kiedy Jarocki kształtował teatralnie „Starą kobietę...", miał w ręku znakomitą sztukę, dopracowaną pod względem dramaturgicznym, kiedy Braun wziął na warsztat reżyserski „Akt przerywany", podjął ryzyko zrobienia kawałka teatru z refleksyjnych didaskaliów antyteatralnych. Eksperyment się udał: powstała najzupełniej „sceniczna" zabawa, wciągająca widza w dyskusję o zagadnieniach warsztatowych, strukturalnych, jakie się napiętrzyły przed współczesnym teatrem i dramaturgią.

Niewątpliwie, powtarzam, jest to zwycięstwo teatru, jego esencji, jego własności konstytucyjnych i możliwości. Bo przecież zaszła rzecz szczególna: posługując się sugestiami Tadeusza Różewicza, który wyszydza teatr „zastany", tenże teatr sparodiował siebie samego, lecz przy pomocy odkrytych już, dawno i niedawno, środków scenicznych stworzył widowisko-słuchowisko bardzo świeże, mogące przez dwie bite godziny trzymać w napięciu uwagę zarówno „biednych recenzentów", jak każdego widza o umyśle otwartym dla kwestii dyskusyjnych.

Swoją drogą paradoksalnie się tu zmieszały zjawiska: wszystkie dowcipy i sarkastyczne docinki poety na temat teatru nie przeobrażonego do gruntu — zostały podane skrupulatnie ze sceny i z proscenium, a wszakci spektakl nabrał wigoru, jakby na przekór Różewiczowi, operując parodystyczną groteską, groteską, o której Różewicz powiedział (i to też powtórzono), że jest obecnie „ratunkiem wszystkich impotentów teatralnych".

Ktokolwiek współżyje w jakiejś mierze z teatrem, wie, że Tadeusz Różewicz dzisiaj „prowadzi" w odnowieniu warsztatowym polskiej dramaturgii współczesnej. Osobiście jestem entuzjastyczną admiratorką „Kartoteki", „Wyszedł z domu", „Mojej córeczki", „Starej kobiety"... „Stara kobieta wysiaduje" to na pewno dzieło dramatyczne wielkiej doniosłości (na równi z „Rzeczą listopadową" Brylla, a nawet ujmuje sprawy ludzkie bardziej generalnie). Gdy się jednak czyta w „Akcie przerywanym" nieco irytujące dyskwalifikacje, którym Różewicz poddaje wszystkie istniejące postacie teatru, to ma się ochotę nieuprzejmie zauważyć, że i „Stara kobieta...", napisana po kilkuletnich poszukiwaniach i będąca sztuką-szokiem w najlepszym słowa znaczeniu, przy całej swej świetności nie odsłania jeszcze „dziurki od klucza" w drzwiach oddzielających teatr dzisiejszy od jakiegoś jutrzejszego. Jest odkrywcza w sensie faktury tylko na terenie Polski. Sam Różewicz zresztą naprowadza na jej związki z Beckettową „Końcówką" i „Czekając na Godota" (a i Joyce'owi trzeba oddać co Joyce'owe).

Tutaj trudno się oprzeć chęci wtrącenia swoich trzech groszy do dyskusji wróżbitów o przyszłych losach teatru. Sądzę, iż jego żywotność tkwi właśnie w różnorodności prądów, że tak powiem — „w plodozmianie". Reformatorzy, wielcy i mali, mówią z aplombem o odkrytej przez siebie „prawdzie" i o reprezentowanym przez nich „realizmie". Wyraz „realizm" rozciąga się przy tym jak guma, aż zatraci wszelkie cechy definicji. A prawda? Prawda jest chyba pojęciem rzeczywiście rozciągliwym, przeto człeka doświadczonego życiem bierze pokusa strawestować na użytek reformatorów sztuki apel z „Bazyliszy Teofanu" wołając: „Nie męczcie świata prawdą!"

Teatr „tradycyjny"! Nie wierzę w jego rychły koniec, zwłaszcza teatru realistycznego sensu stricto. Będzie on istniał, dopóki będzie potrzebny przynajmniej ludziom d o c h o d z ą c y m do kultury teatralnej, czyli długo, długo jeszcze na całym świecie.

Co do mnie, przyznam się, że przeważnie nudzę się na spektaklach „tradycyjnych", lecz wiem, gdzie tkwi źródło tej nudy: w złym wykonaniu. Starych, rasowych aktorów można dziś policzyć na palcach, młodzież zaś aktorska jest wyćwiczona na figlach pseudoawangardowych i nie potrafi już zagrać człowieka.

Ale wróćmy do sukcesu reżyserskiego K a z i m i e r z a B r a u n a. Reżyserskiego i inscenizatorskiego. Bo co jak co, a pokazany przez niego „Akt przerywany" jest bez wątpienia inscenizacją i nawet adaptacją tekstu Różewiczowskiego (dlaczego nie ma o tym wzmianki w programie? — zbytnia skromność). Braun zaczyna spektakl od pokazu dopisanej przez siebie próby „przy stole", którą lokalizuje (umownie) na ziejącej pustką scenie. Ta cała krzątanina aktorów i pracowników technicznych na oczach widzów oczywiście nie frapuje nowością, chwyt ów wędruje dzisiaj ze sceny na scenę, a zademonstrowany in crudo fragment próby spełnia rolę naturalistycznego elementu w kompozycji, tak jak spodek w collage'u plastyka (tedy nowoczesność została zaakcentowana już na wstępie). Ale co jest bardzo ważne, to to, że ta autentyczna scena próby staje się dogodną odskocznią do teatralizacji tekstu.

W procesie teatralizacji roztoczył Kazimierz Braun całe skarby reżyserskiej pomysłowości. Ktoś o mniej bogatej inwencji mógłby zrobić z „Aktu" teatr małych form. W gruncie rzeczy tworzywo, nad którym pracował Braun, jest lirycznym, przesyconym ironią monologiem autora, monologiem z egzemplifikacją, dająca się na upartego podciągnąć pod teatr jednego aktora. Filipski by to świetnie zagrał. Tymczasem Braun potrafił ułożyć tę subtelną materię intelektualną, wbrew prze-

Dokończenie na str. 11

Radomska „Kontra"

Zbigniew Ramotowski

JAK pan się czuje po premierze?

— Głupio...

Tą liście shawowską odpowiedzią próbował skwitować dociekliwość pewnej damy Edward Jabłoński — duch i motor radomskiego ewenementu kulturalnego, który pojawił się w spółdzielczym klubie „Relaks". Mowa o kabarecie „Kontra". 22 lutego kabaret ów zaprezentował swój pierwszy program: „Szopka-Radom 69".

W ostatnich latach próbowano nad Mleczną kabaretowej zabawy bodaj czterokrotnie; w klubach na Starym Mieście, WZGS-owskim i Literackim oraz w DK Zakładów „Waltera". Nie wyszło. Okazało się, że zabawa musi mieć trwalsze i poważniejsze podstawy. Do dziś ostały się tylko nikłe wspomnienia po mniej lub bardziej udanych lub nieudanych premierach.

„Kontra" już „grozi" nowym programem, ale nie zapeszajmy... Oby nie podzieliła losu tamtych efemeryd. Zbyt cenny to bowiem nabytek, chociaż... kłopotliwy.

Część ob-śpiewanych i o-śmianych, jeszcze przed pierwszym występem — kierując się zapewne zmysłem telepatyczno-intuicyjnym — przeszła na pozycje o ś m i e s z o n y c h i o b r a ż o n y c h. Ogromną jednak większość publiczności (w tym niemal in corpore miejskie władze partyjne i administracyjne) przyjęły „Szopkę" aplauzem, a „Kontrę" — zachętami do dalszej pracy i nowych programów. Po okresie sui generis kulturalnego przednówka, miłościwie nam panującego w większości placówek k. o., mimo tzw. „teorii długich zimowych wieczorów" — nie można było inaczej powitać tego, co oryginalne, odważne, na dobrym poziomie.

Autorzy tekstów: J. Dźbik, E. Jabłoński, A. Mędrzycki i W. Twardowski nie poszli na łatwiznę, rezygnując z humoru „pod publiczkę" na rzecz specyficznej wprawdzie, bo szopkowej, ale prawdziwej satyry. Nie dokuczyli wielu osobom, lecz za to wiele miejskich środowisk, problemów i sprawek sportretowali cienkim piórkiem, maczanym częstokroć w żółci. Dostało się kulturze, zakpiono z urzędników, archeologów, architektów i sportowców, ulicznych Don Juanów i panienek z „Teatralnej". Oszczędna scenografia, zręczna i umiejętnie wydobywająca tekstowe pointy reżyseria (E. Jabłoński i L. Sawaryn), a także sprawna gra aktorów — amatorów złożyły się na całość więcej niż udaną. Śmiem twierdzić, że radomska „Kontra" ma szanse znaleźć się w grupie zespołów tej rangi, co kielecki kabaret „Yeti" i słynny już „Teatrzyk Dziennikarza i Aktora".

Skąd w Radomiu, i tak nieoczekiwanie, ów cenny nabytek? Nie pomniejszając zasługi twórców i wykonawców (dziennikarzy, muzyków, profesjonalnych działaczy k. o., inżynierów), pamiętać należy o tzw. możliwościach obiektywnych, czyli po prostu — bazie. Radom wzbogacił się na miesiąc przed końcem ub. roku o imponujący — i, jak dotychczas, prowadzący ożywioną działalność — obiekt kultury. Właśnie ów „Relaks", gdzie „Kontra" wykiełkowała i dała pierwsze owoce.

Jest to klub wybudowany za 2,5 mln zł przez 20 radomskich spółdzielni pracy. Najmłodszy w mieście i najokazalszy, gustownie urządzony. Spółdzielcy (i nie tylko oni) korzystają z sali telewizyjno-odczytowej, kawiarni z odpowiednim zapleczem, estrady z kompleksem potrzebnych pomieszczeń i urządzeń, pokoików dla brydżystów, bilardzistów itp., sali prób. Ogółem — 250 miejsc. Przydał się Radomowi ów „zastrzyk".

Ale, pardon, powróćmy do wspomnianej na wstępie rozmowy.

— Dlaczego głupio?... — dama była nadal dociekliwa.

— Bowiem ci, którzy tak gorąco oklaskiwali, pójdą teraz do domów, tam spokojnie pomyślą i stwierdzą, że to właściwie z nich zadrwiono. Powrócą więc niebawem, aby powybijać szyby...

Sprawdzałem kilka dni po premierze. Okna „Relaksu" były całe. Czyżby usługi szklarskie w Radomiu realizowano tak błyskawicznie?

Na zdjęciu (od lewej): T. Mirkowski, R. Jaworski i E. Jabłoński.
Fot. Marek Kostrzewski

Koleżanka

Ciąg dalszy ze str. 6—7

jej urodzie, że zawsze przepadał za blondynkami, że ta moja świeża cera wpadła mu od pierwszego dnia w oko itd. Nie chciałam nawet słuchać i poszłam do swojego pokoiku. Po chwili słyszę: jest. I znowu to samo. Żebym się nie zamykała, że on nigdy nie ośmieli się przekroczyć granicy. Proponuje tylko, jako koleżance, abyśmy wspólnie obejrzeli program TV, bo jest wyjątkowo ciekawy. Coś mnie podkusiło i nie zastanawiając się długo, zgodziłam się. Rzeczywiście zachowywał się bardzo ładnie, na pożegnanie tylko przetrzymał moją rękę, ale nic więcej. Program był ciekawy, spędziłam przyjemnie wieczór. Podziękowałam i poszłam do siebie. Może źle zrobiłam. Cóż? Przyznaję się: tak było. Nic więcej.

To był podstęp. Przygrywka. Od tego dnia zaczął dokoła mnie krążyć, jak jastrząb dokoła swojej ofiary. Spadał też nieoczekiwanie, nagle zjawiał się o różnej porze dnia, rano, w południe, wieczorem, na nic nie zważał, z każdym dniem był coraz bardziej natarczywy. Sama już nie wiedziałam, co robić? Uciekać? Nie krzyczał, nie był ordynarny. Prosił, żebym mu okazała względy. Tak mówił. A ja wciąż pamiętałam Zapolską i kilka razy mu to powtórzyłam. A on, że to literatura, teatr, że życie jest zupełnie inne i że tamte dziewiętnastowieczne czasy dawno minęły, że dziś ludzie zmądrzeli, bo... Jak to słowo padło o środkach antykoncepcyjnych, to już nie miałam żadnych złudzeń. Wypaliłam mu całą prawdę i prosiłam, aby zrozumiał, że przyszłam tu pracować, że chcę zaoszczędzić trochę grosza i pójdę do innego zajęcia. Może do fabryki, może gdzie indziej. Tłumaczyłam mu, jak człowiekowi, a on znika na chwilę i wraca z żyletką. — O — powiada — na koleżanki oczach podetnę sobie żyły. — Ja w krzyk, a on naprawdę bierze się do dzieła. Widzę krople krwi. Więc ja do drzwi wyjściowych, chcę wołać ratunku... Drogi wychowawco, trudno mi opisać, jak się wówczas namęczyłam z tym człowiekiem. Nie wiedziałam, jak mam postąpić, co robić, aby go do przytomności doprowadzić. Z drugiej strony bałam się, aby nie wykorzystał mojej słabości, mojej dobrej woli. Na szczęście los czuwa nad sierotami. Kiedy tak stoję w rozpaczy, przemawiam mu do rozumu, zgadzam się, aby jutro pomówić z nim poważnie (bo on, drogi wychowawco, oświadczył, że gotów jest w każdej chwili wziąć ze swoją Lidią rozwód), drzwi w hallu się otwierają i wchodzi pani, czyli koleżanka Lidia. Tak się ucieszyłam, że powitałam ją zbawiennym okrzykiem, czym ona była zdziwiona. Zaraz poprosiłam o zwolnienie na kilka godzin. Otrzymałam bez trudu, poszłam do kina, a potem do świetlicy dworcowej, gdzie posiedziałam sobie przed telewizorem godzinkę. Wróciłam cicho, na palcach. Oni już spali.

Rano przychodzi pani na spytki, na śledztwo. Ja, rozumie się, kołuję, wykręcam się, jak mogę, ale ona przypiera do muru. Więc ona znowu o koleżeństwie. Koleżanka to, koleżanka tamto. — Czy był agresywny? Czy zapraszał na program TV? Czy groził, że podetnie sobie żyły? Więc już bez skrupułów opowiedziałam, jak i co, nic nie zatajając, bo i co miałam, drogi wychowawco, talić? Wtedy ona: — Znam to wszystko na pamięć, chciałam tylko sprawdzić, czy koleżanka jest szczera i prawdomówna. A co do jego tak zwanej męskości: spokojna głowa. Koleżanka widzi, że nie mamy dzieci, chociaż z duszy, z serca ich pragnę. Ale ten mój piękny Dominik potrafi wiele szumu robić, a jak przyjdzie do... Nie wiedziałam, co z sobą robić, drogi wychowawco, bo pani ze mną rozmawiała, jak ze starą mężatką, a ja przecież jestem panienka, dziewczyną i o wielu rzeczach dopiero się w tym domu u moich chlebodawców dowiedziałam, szczególnie o tych ohydnych, obrzydliwych, które zniechęcają człowieka do miłości prawdziwej i uczciwej.

— Gdyby kiedyś jeszcze próbował tych swoich sztuczek, w co wątpię, niech mu koleżanka najspokojniej w świecie odpowie, że wie już wszystko, że została dokładnie poinformowana, a on natychmiast da spokój.

Tak mnie pouczyła pani. Pogadałyśmy sobie serdecznie, ona mi wiele spraw wyjaśniła, a potem powiada: — Koleżanko kochana, jestem tak zmordowana tą podróżą do Warszawy, że sił nie mam. Proponuję, nie rozkazuję, żeby koleżanka oczyściła moją garderobę, powiesiła w szafie i doprowadziła do porządku moje buty.

Zgodziłam się, drogi wychowawco. Czy mogłam odmówić?

Siedzę w kuchni na stołeczku, czyszczę buty koleżanki Lidii, a łzy kap, kap na nie moje panfofle. Rozmyślam nad tą moją drogą życia, nad losem człowieka, wspominam matkę swoją ukochaną, tatę i was wszystkich, którzy byliście dla mnie życzliwi i tak wiele serca okazali w ciężkich chwilach. Gdybyście tak teraz ujrzeli tę wesołą, rozśpiewaną Halinkę, tę, co deklamowała wiersz Broniewskiego „Nie głaskało mnie życie po głowie"? Czyści do połysku w cudzej kuchni cudze pantofelki i łzami nad swoją dolą się zalewa.

Na to wchodzi pani i wybucha śmiechem. — Użalasz się — powiada — nad swoim kielichem goryczy? Oj, ty, ty, naiwna dziewczyno. A cóż to jest upadlającego wyczyścić koleżance buciki? Dziś ty mnie, jutro ja tobie. Proszę bardzo, choćby najbrudniejsze. Zobaczysz, jak ci wyszoruję. Ludzie sobie tak wymyślili. A to, że oblad nam gotujesz, to nie hańba? Prawda? Nawet ci przez myśl nie przejdzie, że trzeba potem pomyje wylać, że musisz dbać o cudze kołduny. — Tak mnie skołowała, że już sama w końcu nie wiedziałam: śmiać się, kpić ze siebie, czy przyjmować wszystkie rzeczy tak, jak lecą...

Koleżanka Lidia bardzo chętnie rozmawiała ze mną na tematy społeczne. Twierdziła, że równość jest fikcją, że o wszystkim decyduje pieniądz. Kto ma pieniądze, ten żyje szczęśliwie i beztrosko. A kiedy przeczyłam i opowiadałam, że nigdy nie byłam bogata, ale kiedy żyli moi rodzice byłam szczęśliwa, uśmiechała się. Te-re-fere — mówiła — tak się tylko koleżance wydawało, bo koleżanka nic w życiu nie widziała. Ja też — mówiła — byłam już w życiu pod stołem, a i teraz nigdy nie jestem pewna czy długo potrwa mój dobrobyt, może przyjść taka chwila, że to wszystko weźmie w łeb i znowu zacznę klepać biedę, dlatego używam jak potrafię i cieszę się chwilką, żebym potem nie żałowała...

Zapytałam pewnego razu, jakiego rodzaju dyrektorem jest nasz pan, czyli kolega Dominik. Otrzymałam odpowiedź: — Był kiedyś. Teraz zajmuje się czym innym. Pracuje. Wystarczy? — Ale gdzie? A koleżance bardzo zależy, żeby wiedzieć? — Chcę napisać swojej przyjaciółce — mówię. — Aaa, taka sprawa. W handlu. W hurcie. Jasne? — Jasne.

...Zgadałyśmy się o czytaniu. Przejrzała książkę Nałkowskiej, którą czytałam, odrzuciła ją. — Dziwna jesteś — powiada — młoda, ładna, zgrabna jesteś, a czytasz takie rzeczy. Naprawdę nie nudzi cię takie coś? — A pani, a koleżanka, co czyta? — Owszem, czytam. Nie zasnę bez książki. Przepadam za kryminałami, ale muszą być dobre, żeby się człowiek nie mógł oderwać. Lubię też o miłości, ale o pięknej, z kwiatami, księżycem, konnymi przejażdżkami, żeby ci zakochani za sobą szaleli, żeby żyć nie mogli w rozłące, ale żeby w końcu, po roku czy po dwóch, wszystko się dobrze skończyło, żeby była piękna podróż poślubna do Włoch czy do Hiszpanii...

Zapytałam: — A czy Nałkowska się pani nie podoba? W odpowiedzi zlewnęła — Podoba, podoba. Ale to jeszcze ze szkoły. A nauczycielka w domu też czyta co innego. Co innego w pracy, a zupełnie co innego w domu. Jeszcześ tego nie zrozumiała? Ty przecież też — mówi — inaczej żyjesz tutaj, a co innego będziesz robiła i mówiła w domu. — Na to ja, że nie mam domu, że moim domem jest teraz cała Polska. A ona: —

Kamena str. 8

Na początku był „Palant”

Romuald Wiśniewski

OGŁOSZENIE w „Życiu Warszawy” zapowiadało początek dyskusji na godz. 12. Ze śródmieścia na Bielany — kawał drogi, żeby zdążyć na czas jechałem taksówką, wydatek okazał się niepotrzebny, rzecz zaczęła się bowiem z opóźnieniem. Miałem za to czas na przeczytanie referatu informacyjnego, przygotowanego przez doktoranta, odbitego na maszynie w kilkudziesięciu kopiach i wyłożonego na wszystkich krzesłach.

Publiczność schodzi się powoli. Wreszcie o 12.20 otwierają się drzwi boczne i na salę Klubu Studenckiego wkraczają główni bohaterowie. Za stołem prezydialnym zasiadają: pani około czterdziestki, dobrze zbudowana, przystojna, w popielatym sweterku i szarej spódnicy oraz trzej panowie w wieku średnim i wyżej, eleganccy. Pani w popielatym sweterku wstaje i komunikuje, że otwiera posiedzenie Rady Wydziału, na której ma być przedyskutowana publicznie rozprawa doktorska pt. „Badania zainteresowań narciarskich uczestników wczasów w schroniskach karkonoskich”.

Na mównicę wchodzi doktorant. Ma ciemny garnitur, białą koszulę i drogi krawat, na twarzy wypieki.

Pani około czterdziestki (bardzo przystojna, siadłem bliżej i widzę lepiej) mówi, że teraz zabierze głos Profesor Doktor, promotor doktoranta. Profesor przedstawia swego podopiecznego: urodził się w roku 1934 w Częstochowie, w rodzinie nauczycielskiej, po wojnie ukończył szkołę średnią, w roku 1955 studia wyższe, w 1958 uzyskał tytuł magistra. Pracował w Funduszu Wczasów Pracowniczych na Śląsku, od roku ubiegłego zaś jest nauczycielem wychowania fizycznego w Zielonej Górze. Trener narciarstwa i żeglarstwa, ratownik GOPR-u. Posiada złotą odznakę Polskiego Związku Narciarskiego, srebrną — PTTK i państwową odznakę sprawności fizycznej I stopnia. Prowadzi eksperymentalną szkółkę narciarską. Opracował i wydał drukiem: program nauczania narciarstwa na wczasach.

Wystąpienie promotora jest trochę nie na temat, ale postać podopiecznego rysuje się pozytywnie.

Teraz doktorant wygłasza swój referat informacyjny, czyli ten wyłożony na krzesłach. Sama rozprawa doktorska, którą przejrzałem w bibliotece głównej uczelni, miała 175 stron. Referat — niecałe 7, można zatem zrelacjonować główniejsze tezy.

A więc, że literatura na temat zainteresowań narciarskich uczestników wczasów w schroniskach Karkonoszy jest bardzo uboga, toteż problem jest nowatorski i trudny do zbadania. Stąd też niedoskonałości i niedociągnięcia w zbieraniu materiałów, pogłębione specyficzną, swobodną atmosferą urlopową i krótkimi, bo zaledwie 14-dniowymi, turnusami. Praca ma zatem charakter eksperymentalny, wstępny.

Dalej dowiadujemy się, że badani wczasowicze stanowili dwie odrębne grupy narodowościowe, polską i niemiecką, przebywające w Karkonoszach w lutym i marcu w podobnych warunkach bytowo-organizacyjnych, klimatycznych i geograficznych. Badaniami objęto 100 proc. osób z tych dwóch grup, ale 4,8 proc. Niemców i 3,5 proc. Polaków nie chciało odpowiadać na pytania ankiety, uważając, że nie po to przyjechali na urlop. Dalej — podział badanych na grupy według płci, wieku, wykształcenia i zaawansowania narciarskiego. Następnie odkrycie, że słabsi narciarze woleli jeździć na łagodnych stokach, a lepsi na trasach trudniejszych.

We wnioskach doktorant zaleca gruntowne przebadanie naukowe tematu, z uwzględnieniem wszechstronnych metod i to nie siłami jednego człowieka, lecz całego zespołu wysoko kwalifikowanych specjalistów.

We wnioskach dla rodziców i wychowawców stwierdza się że bierne zainteresowanie narciarstwem jest wcześniejsze od czynnego uprawiania tego sportu, i że wpływ na to mają możliwości uprawiania go.

We wnioskach dla instytucji i organizacji — nowatorskie myśli o konieczności większego wykorzystywania urlopów w zimie, gdyż wtedy urlopowicze mogliby jeździć w góry na narty, o tym, że warunkami umożliwiającymi szersze uprawianie narciarstwa są: produkcja dobrego sprzętu, rozbudowa bazy hotelowo-wczasowej, dobre połączenia komunikacyjne z wczasowiskami górskimi, organizowanie nauki jazdy na nartach, propagowanie narciarstwa...

Doktorant czytał wyraźnie — mocnym, czystym głosem, ale nie dosłyszałem wszystkiego, myśl uciekła mi gdzieś w bok, zacząłem zastanawiać się, ile mamy jeszcze w Polsce ugorów na niwie prawdziwej nauki, koniecznych do szybkiego zorania przez zaradnych badaczy... Ile jeszcze tematów godnych dyplomu doktorskiego czeka na tęgie głowy i dobre pióra... Zainteresowanie pływaniem uczestników wczasów nadmorskich... Zainteresowanie jeździectwem uczestników wczasów w siodle... Trzeba pojechać na miesiąc czy więcej na takie wczasy, pogadać z ludźmi, poopalać się przy okazji na plaży, pocwałować sobie na jakimś bachmacie. Naukowcom też coś się należy od życia oprócz siedzenia w mrocznych gabinetach. A szachy, a ping-pong, a brydż. Możliwości jest więcej, nie tylko z dziedziny kultury fizycznej. Trzeba zrobić wobec tego trochę pożytecznego hałasu w prasie. Zainteresowanie produktami monopolu spirytusowego wśród urzędników na delegacji (piją czy nie, a jeśli tak to ile i za co? — ważny problem społeczny). Zainteresowanie jakością obuwia wytwarzanego przez przemysł kluczowy wśród uczestników pielgrzymek pieszych na Jasną Górę... Choć nie, ostatni pomysł nie najlepszy, taka pielgrzymka to jednak zbyt fatygujące zajęcie...

Z marzeń naukowych wyrwał mnie głos pani w popielatym sweterku (koło czterdziestki, bardzo przystojnej), zapowiadający dyskusję.

Najpierw wypowiedział się Docent Doktor, recenzent. Trochę o narciarstwie, że daje duże korzyści dla zdrowia, ale choć rozwinęło się w pełni jako wyczyn, nie stało się masowe, uprawiają je nadal ludzie zamożni. Może praca doktorska zainteresuje odpowiednie władze. Recenzent uważa, że praca mimo pewnych drobnych usterek w pełni odpowiada wymaganiom stawianym rozprawom doktorskim i jest za przyznaniem doktorantowi tytułu.

Następny Docent Doktor, drugi recenzent, ma więcej zastrzeżeń. Po pierwsze, w tytule prawidłowo powinno być nie „zainteresowań narciarskich” a „zainteresowań narciarstwem”. Warunki w obu schroniskach, dla Polaków i dla Niemców, nie były jednakowe, bo pomiędzy nimi jest 195 m różnicy poziomów. Autor oprócz wypowiedzi uczestników wczasów zebrał opinie 25 nauczycieli narciarstwa, a to jeszcze mało. Praca jest rozwlekła. Niektóre wnioski przerodziły się w uwagi i rady. Jeśli praca miałaby być opublikowana, wnioski należałoby przepracować. Ale — mówi Docent Doktor, drugi z recenzentów — uważam, że rozprawa spełnia wymagania ustawy o tytułach naukowych, toteż jestem za przyjęciem jej.

Teraz dyskutuje publiczność. Publiczność liczy sobie 11 osób, w tym pan obsługujący magnetofon. Jeśli pana obsługującego magnetofon zaliczymy do personelu technicznego, publiczność liczy sobie 10 osób. Przepraszam za szczegóły, wpadłem jednak w styl i nastrój omawianego tekstu.

Publiczność wygłasza swoje uwagi oraz zadaje pytania. Niektóre są takie, że trudności z odpowiedzią miałby pewnie sam pan przewodniczący GKKFiT, inne dotyczą bezpośrednio rozprawy i doktoranta. Ten ostatni odpowiada jednak na wszystkie, mimo wyraźnego podniecenia, spokojnie i z widocznym zaufaniem do własnych sił.

Czy rozprawa jest tylko wstępnym studium, czy też prowadzi się już dalsze badania, a jeśli tak to kto i w których wczasowiskach? Czy autor rozmawiał również z organizatorami wczasów narciarskich, czy tylko z wczasowiczami i instruktorami? Co zrobić, żeby więcej urlopów spędzano zimą? Co oznacza zwrot „eksperyment naturalny”, użyty przez autora na określenie charakteru swoich badań?

Pani w popielatym sweterku jest nieźle zorientowana wśród publiczności, udzielając głosu tytułuje „Pan Profesor”, „Pan Doktor”, „Pan Docent”. Dyskutanci wysuwają różne obiekcje co do rozprawy, kończąc jednakże, że zgodnie z obowiązującymi ustawami, spełnia ona swe wymogi.

Wyjaśnienia i odpowiedzi składa doktorant. Przyrzeka dokonanie proponowanych zmian w tytule. Informuje, że w Polsce jest 50 fachowych instruktorów i nauczycieli narciarstwa. Rozmowy z 25, to rozmowy z 50 proc. całości; chyba wystarczające, prawda? Naturalny eksperyment polegał na tym — mówi — że chciałem stworzyć podobne warunki bytowo-organizacyjne dla obu grup badanych, zapewnić im podobną kadrę nauczającą itp.

Nie zrozumiałem, więc wstaję i mówię, że ja w sprawie formalnej, co znaczy „chciałem stworzyć”. Pan sam chciał stworzyć, czy też mam rozumieć, że szukał pan dwu grup wypoczywających w podobnych warunkach?

Pani w popielatym sweterku przerywa mi informacją, że dyskusja publiczna już jest zakończona. Doktorant jednakże udziela mi odpowiedzi. „Tak, starałem się stworzyć, organizowałem te turnusy, byłem też na wszystkich zajęciach, czy to w formie hospitującego, czy obserwującego”.

Publiczność powoli rozchodzi się. Zostały tylko cztery osoby, łącznie z panem obsługującym magnetofon, a gdybyśmy uznali go za personel techniczny, to trzy. Świetna rozprawa — szepcze mi nie znany osobiście pan siedzący obok, tytułowany Doktorem — jedna z lepszych w tej katedrze. Doktor przypomina mi do złudzenia jednego z dwóch też nieznajomych mi panów, którzy gdy wsiadałem do taksówki i podawałem adres: Bielany, przysiedli się. Może nawet ten sam? Coraz więcej tych doktorów — mówi jeden — ktoś kiedyś napisał, że przed wojną doktor był od bólu brzucha, a magister od pigułek, dziś magister może być od gry na skrzypcach, a doktor od kopania piłki nożnej.

Prezydium dyskusji wraca z narady. Pani w popielatym sweterku (bardzo przystojna) ogłasza jego pozytywną opinię o rozprawie. Brawa, gratulacje. Opuszczając teren uczelni kupuję gazetę popołudniową. Na 1 stronie wielki tytuł: „Na świecie pracuje dziś tylu naukowców, co dotychczas w dziejach ludzkości, a ilość ich co 10 lat podwaja się”. Nie jestem naukowcem, lecz rozpiera mnie duma, że żyję w takich mądrych czasach.

St. Jerzy Brzózka

Z notatek

Człowiek
idzie
za człowiekiem
żeby zmieścić się
pocieszyć
— sosna
za sosną
idzie
nie wiedząc gdzie las.

Wysmgród

Edward Inglot

(z cyklu: piszę pieśń)

* * *

samotny nasturcją
kiedy dojrzewa wieczory sypią
chlebowy sen
on z glinianym ptaszkiem
w dłoniach

z tysiącem słońc
z milczeniem jak łza
bo któreroś dnia
odeszła maria
w glinianym sercu
kwitnie pełno równin

* * *

pustynna cierpliwość wielbłądów
gołębie rannej krzątaniny
słowa mrowia
pożądliwość
gorycz w nawoływaniu
słoneczność wśród dzieci
pociągi
anno
pieśń tą
zasiej na mym grobie
centurię

Tarnowskie Góry

Alina Guzowska

Posłuchaj...

O świcie
w tamtej ulicy
ścięto głowy drzewom
za leciwość
i tak
że wiatr obudzony
z nocnej drętwoty
wstrzymał oddech
na chwilę
lecz zaraz
sprowadził deszcz
dla obmycia
poranionych liści
a nasze cienie
roztrzaskał
o świeże tynki
odsłoniętych domów

Lublin

Powinni ciebie za pieniądze pokazywać z tą twoją bezgraniczną naiwnością...

...Ani rusz nie mogłam zrozumieć, na czym ta gra polegała. Było pięciu panów i dwie panie razem z naszą. Kart ani nic takiego nie zauważyłam, wychodzili, wchodzili, coś jakby odgadywali i chyba jak źle, płacili karę. Pod koniec w tym banku było siedemnaście tysięcy złotych. Majątek. Cztery dobre krowy, nawet bardzo dobre. I wszystko to zagarnął nasz pan, czyli kolega Dominik. Jak goście odeszli, przyszedł do mnie i położył na stole dwie pięćsetki. — Gratyfikacja — powiedział i poklepał mnie po twarzy. Ale ja stanowczo odmówiłam. O czymś takim nie było mowy. On nastawał, a ja nie i nie. Rano koleżanka Lidia przyniosła mi śliczną haleczkę. — Musisz ją wziąć — powiedziała — od koleżanki, z przyjaźni ci daruję. Wzięłam, bo haleczka była naprawdę śliczna i postanowiłam, że na imieniny pani zrobię coś ładnego. To będzie rewanż...

Jak się to dzieje, drogi wychowawco, że niektórzy ludzie mają tyle pieniędzy i wcale ich nie szanują? Za samą szynkę, którą kupuję na proszoną kolację, płacę 110 zł kilo. A to tylko drobna przystawka. Państwo A. i ich przyjaciele, jak ich coś napadnie, garściami sypią pieniądze. Jak groch. Nic się nie liczą. Ale ze mną Lidia robi rachunki codziennie skupulatnie, grosz do grosza wylicza. A znowu pensje wypłaca mi regularnie i bardzo sumiennie. Złego słowa powiedzieć nie mogę. Posiłków też nie wydziela, tylko masła nie wydaje. — Od masła się tyje — powiada. — Nie musisz go jeść. — A ja za masłem nie przepadam, więc i nie ma o czym mówić.

Czasami koleżanka Lidia bierze się do pieczenia ciast. Heca nie z tej ziemi! Nie ma do tego drygu. Napsuje tłuszczu, cukru, konfitur, korzeni i olejków zagranicznych, a potem wszystko wyrzuca i od nowa. — Tylko nie mów nic Dominikowi — ostrzega i wychodzi z kuchni, ani jej w głowie, że poniosła dużą stratę, że to właśnie była typowa syzyfowa praca. Czy dobrze określiłam, drogi wychowawco?

I tak upływały mi tygodnie i miesiące w pracy u państwa A. Nieraz już byłam spakowana, gotowa choćby do ucieczki, to znowu robiłam sobie wyrzuty: — Cóż to? Nie wytrzymasz nawet roku? Musisz wytrwać. Ojciec ci przecież nieraz tłumaczył: wszystko jest dla człowieka, z każdej rzeczy można się wiele nauczyć, wszystko się człowiekowi kiedyś przyda. Nauczyłam się i ja tu niemało, a zobaczyłam tyle, że moje koleżanki i w ćwierci czegoś takiego nie widziały, nie słyszały.

Aż pewnej nocy obudziłam się, zaczęłam rozmyślać. Ogarnęło mnie takie zwątpienie, że wyleżeć nie mogłam. We wszystko zaczęłam wątpić. W siebie również. Jak się to stało, że poszłam na ten chleb? Łatwy bądź co bądź chleb. No, nie mogłam pozostać na wsi, nie miałam dachu nad głową, no, było źle, że gorzej być nie mogło. Ale inni szli do fabryki, do godziwego wysiłku, na trud. A ja wybrałam coś takiego, że i nazwać trudno. To jedno. Zamyśliłam się nad moimi pracodawcami. O kol. Dominiku, o moim panu, nawet nie warto było i chwili się zastanawiać: stracony człowiek. Dobrze mu się przyjrzałam. Ale kol. Lidia nie jest tak zupełnie na minus, ma często dobre porywy, gdybym była więcej wykształcona, życiowo wyrobiona, może bym i spróbowała nad nią popracować. U nas na kursie bywali też ludzie nie do życia, zdawało się: całkiem zmarnowani, a przecież, jak się do nich wzięli nasi wychowawcy, wychodziły stuprocentowe, pożyteczne jednostki, aż radość brała patrzeć. Ale cóż? Ja nie jestem pedagogiem, nie mam żyłki i za mało umiem. Z drugiej znowu strony myślałam, że ta sama szkoła może jednego podnieść, pokazać mu drogę i cel, a drugiemu nic, spływa jak po gęsi woda. Kol. Lidia pokazywała świadectwa, uczyła się, niezłe miała stopnie, dyplom też niezły, a co wyszło, jak się skończyło? Zaczęłam też wątpić w samo słowo inteligencja. Co to jest? Jakie ma znaczenie? Kto jest prawdziwym inteligentnym obywatelem? Gdzie szukać tych inteligentów? W mieście, na wsi, w kościele, w zakładzie pracy, w związku jakimś, w prywatnych domach? Państwo A. są stuprocentowymi inteligentami, inaczej nikt o nich nie powie. Zasłużyli sobie na to miano. A czym? Wykształceniem? Pochodzeniem może? Sposobem życia? Poziomem życia?

Pracuję u nich jako pomoc domowa. Cóż? Ukończyłam podstawową i kurs ośmiomiesięczny. Jestem zdrowa, dość silna. Lubię to i owo. Mam marzenia. Miałam od pierwszej klasy podstawowej dobrych wychowawców. Ale i kol. Lidia miała ich również, miała poza tym wiele szans, mogła iść dalej, poszła do szkoły średniej, ukończyła ją, coś tam jeszcze zdobyła, nie wiem dokładnie, ma w każdym razie jakiś dyplom. Nic jej nie razi, grzęznie, grzęznie, aż pewnego dnia jeśli nie utonie w tym bloczku, to na pewno zanurzy się w nim po szyję. Kto ją skierował na tę drogę? Szkoła? Nie. Może mąż? Prawdopodobnie. Dlaczego nikt nie podał jej we właściwym czasie ręki? Czy należy sądzić, że pełnoletnim ręki w ogóle się nie podaje? A co się dzieje z ludźmi o słabej woli? Być może mówiono już jej o tym w szkole. Słyszy się przecież często: masz słabą wolę, musisz pracować nad sobą, uważaj, stoczysz się w przepaść. Czy Lidia nie chciała „uważać”? Może sama nie umiała?

A ja starałam się ze wszystkich sił. I co? Pracuję, owszem, nawet materialnie dobrze mi się powodzi, ale nikomu nie powiem gdzie, u kogo. Nawet moja najlepsza przyjaciółka przypuszcza, że pracuję w instytucji państwowej i powiada o mnie, że wygrałam los na loterii. Wstydzę się swojej pracy...

Próbowałam podzielić się swymi wątpliwościami z kol. Lidią. Nawet wysłuchała mnie uważnie, w oczach jej dostrzegłam błysk zadowolenia. Pomyślała: nie nadajesz się do niczego innego, więc musisz być „posługaczką”, a ja dopięłam swego. Należało mi się. Tak być powinno.

Czy istotnie? Właśnie wątpię.

I cóż się stało, drogi wychowawco? Moje wątpliwości doprowadziły mnie do takiego postanowienia: nie umiałam walczyć z trudnościami, wolałam płynąć, zdać się na łaskę losu. I dlatego takie skutki. Powinnam zdobywać wszystko własnymi siłami, pokonywać choćby największe trudności. Mówiliśmy o tym niemal codziennie na kursie, ale wydawało mi się, że jestem na taką trudną drogę za słaba, bezsilna. Dlaczego? Jestem silna, zdrowa, w miarę zdolna. Może nie miałam określonego celu? Może moje osobiste nieszczęście załamało mnie tak gwałtownie, że nie byłam w stanie się podźwignąć?

Tak sobie wytłumaczyłam:

Pobyt u państwa A. jest przystankiem w mojej podróży życiowej. Niech będzie, że nawalił rozkład jazdy, albo, że ja nie umiałam sobie z nim poradzić, nie potrafiłam odczytać. Przystanek, a raczej przesiadka wypadła nieoczekiwanie i nie w porę. Trzeba będzie zmitrężyć trochę czasu, aby złapać właściwy pociąg. Nikt za mnie tego nie uczyni. Muszę sama. Jak?

A tym sęk właśnie.

Pójdę do PGR. Mam lat dwadzieścia. Po dwóch latach uczciwej pracy mogę zdobyć pierwszorzędną opinię. Znam pracę w polu, wszystkie pokrewne również. Czy mam drogę do awansu? Jestem przekonana, że tak. A nawet, gdybym miała pozostać zwyczajną robotnicą fizyczną, to przecież nie powód, abym się miała jej wstydzić.

Więc to już jest postanowione. Tylko się rozejrzę i wybiorę sobie właściwy PGR.

Druga sprawa: przywrócić właściwy blask słowu „koleżanka”, „kolega”.

Taka forma obowiązywała u nas na kursie. Znaczyło to: bądź człowiekiem, staraj się w innym dostrzec lepszego od siebie człowieka, bądź ludzka, pomóż innym słabszym, nie śmiej się z nich, nie intryguj, nie kop pod nimi dołków, bądź odważna, śmiało wypowiadaj swoje myśli. Bądź uczciwa, broń tego, co zostało zdobyte przez innych.

Państwo A. ośmieszyli to święte dla nas słowo. Ich znajomi, przyjaciele, zrobili sobie z tego słowa zabawkę. Pokpiwali zeń. Nic nie znaczyło w ich ustach. Gorzej: było czymś, co zasługiwało na pogardę, co miało mydlić oczy.

Więc będę od pierwszego dnia nowej pracy nadawała temu słowu właściwą treść. Uczynię wszystko, aby wokół mnie zaistniała prawdziwa koleżeńska atmosfera. Ja wiem, co to znaczy. Dobrze rozumiem.

Czy powiesz, drogi wychowawco, że ten mój program to program minimum? Niech będzie. Od tego zacznę. A ten list proszę potraktować jako dokument — zobowiązanie, które złożyłam w pewne ręce, aby po roku sprawdzić, porównać.

Dobrze się czuję po napisaniu tego wszystkiego. Za dwa tygodnie stąd odchodzę. Powiem na pożegnanie: — Do widzenia, koleżanko, do widzenia, kolego. Chętnie wyciągnę do was rękę i w przyszłości.

Waldemar Babiniec

okolice sztuki

Multipart

PIERWSZE przyszło zaproszenie z warszawskiej Galerii Foksal, zachęcające do przybycia na wernisaż wystawy „jednego obrazu w 40 egzemplarzach" pt. Multipart. Jego czy ich autorem okazał się głośny malarz krakowski Tadeusz Kantor. Zaproszenie owo miało, rozumie się, drugą stronę, na której — to już bardziej niezwykłe — wydrukowano upoważnienie: do zawarcia umowy z autorem i nabycia lub zamówienia obrazu; eksponowania nabytego obrazu na wystawie kolekcjonerów „Multipartu" w tejże galerii jesienią br. Ponieważ tego jeszcze w Polsce nie było, przeczytałem rzecz całą po raz wtóry, czemu towarzyszyła rosnąca sympatia do artysty, znanego z różnorakich i często zabawnych pomysłów. Tym razem jednak pomysł Kantora zaskoczył mnie rozmiarem i charakterem przypuszczalnych następstw.

Oto 40 osób kupuje obrazy Kantora. Powiedzmy, że mieszkają oni w odległych od siebie miastach. Z pakunkami pod pachą rozjeżdżają się z Warszawy, ale psychiczny kontakt wiąże ich nadal z Galerią Foksal, gdzie za kilka miesięcy spotkają się powtórnie na wystawie zakupów. W efekcie mamy coś w rodzaju gigantycznego happeningu, rozciągniętego w czasie i przestrzeni. Kantor nie zainicjował więc na naszym gruncie modnej obecnie na zachodzie tendencji, zwanej multiple, a polegającej na wykonywaniu jednego obiektu plastycznego w wielu egzemplarzach, co w płaszczyźnie ideowej równa się przekreśleniu kardynalnej do niedawna cnoty dzieła sztuki, jakim była jego unikalność, niepowtarzalność. Kantor przysposobił tę tendencję do własnego programu, który tylko wywoławczo, na zasadzie podobieństwa mechanizmu, określiłem happeningiem.

Te przypuszczenia otrzymały wkrótce potwierdzenie treścią „Umowy", którą otrzymałem po kilku dniach.

Umowa „między Tadeuszem Kantorem a nabywcą" (tu miejsce na wpisanie właściwego nazwiska) dotyczyła „nabycia obrazu" o wymiarach 110 × 120 cm, zatytułowanego „parapluie-emballage". Obraz składał się z białego i autentycznego parasola, przymocowanego do białego płótna. Na następnych stronach umowy wydrukowano informacje, nakazy i zakazy, których przynajmniej część należy udostępnić czytelnikowi, jako że są to bez wątpienia teksty o wadze historycznej, zdecydowanie przełamujące schematy naszego życia artystycznego, choćby zawartym w nich dowcipem. Być może, że rzecz cała wyda się komuś łatwym sposobem zarabiania pieniędzy — jeden egzemplarz „parapluie-emballage kosztował 500 zł, pomnożone przez 40 daje 20 tys. zł, co szybko obliczył KTT w „Kulturze" — lecz dla mnie osobiście jest to znakomita zbiorowa zabawa, zaprawiona przez autora pewną dawką ironii. Po „lekcji Cezanne'a" doczekaliśmy się „lekcji Kantora". Statystyczny Polak wydaje rocznie na alkohol przynajmniej 800 zł, powinno go więc stać na 500 zł na „parapluie". A oto co ciekawsze wyjątki z warunków umowy.

„Nabywca obrazu zobowiązany jest:

Zakupiony obraz zawiesić w swoim domu na widocznym miejscu.

Przez okres pół roku udostępnić obraz swoim gościom, przyjaciołom, zwiedzającym celem stopniowego wypełnienia go wszelkiego rodzaju wypowiedziami, podpisami i uwagami, których li tylko nieliczne możliwości podaje autor poniżej dla przykładu.

Właściciel obrazu powinien wytworzyć wokół obrazu atmosferę spontanicznego i niczym nie skrępowanego działania i pasjonującej zabawy.

Właściciel obrazu powinien wykazać zrozumiałą ambicję dokonania czegoś nieprzeciętnego.

Właściciel obrazu może w wypadkach naglących i wątpliwych komunikować się z autorem lub galerią i zasięgać porad drogą korespondencyjną.

Właściciel obrazu może obraz poszerzyć przez dodanie następnego płótna.

Galeria wyda katalog obejmujący nazwiska nabywców, ewentualnie reprodukcje obrazów w stanie końcowym, oraz ciekawsze wypowiedzi".

Wszystkie „warunki umowy" obejmują 12 punktów. Ponadto „Umowa" zawiera rejestr tego, co można robić z i na obrazie. Tak więc „można pisać, drapać, gryzmolić, pisać obelgi, pochwały, wyrazy współczucia, wyrazy najgorsze, rozmyślania, groźby, telefony, randez-vous, anonimy" etc., etc. Autor nie stawia też przeszkód w plagiatowaniu obrazu, kradzieży, spaleniu i oprawieniu w antyczne ramy. Zgadza się także na zamalowanie go ulubionym przez właściciela kolorem. Kategorycznie natomiast sprzeciwia się malowaniu obrazu „ponieważ nie leży to w intencji umowy".

Tym wszystkim, którzy okrzyczą Kantora cwaniakiem, polecam tekst jego autorstwa, wydrukowany na ostatniej stronie „Umowy", a przede wszystkim takie zdanie: „Autor nie jest... pewien, czy w dzisiejszym społeczeństwie konsumpcyjnym może jeszcze zaistnieć coś, na co nie znajdzie się zachłanny nabywca". Kantor miał rację: nabywca znalazł się.

IJK

POSTE RESTANTE

Nazwa naszej rubryki Poste Restante ma znaczenie dosłowne: poczta zostająca, czyli te nadesłane do redakcji utwory, których — z prawdziwym żalem — nie mogliśmy zamieścić w numerze, ale które — z prawdziwą satysfakcją — wybraliśmy do publikacji w tej rubryce. Przypominamy, że w Poste Restante nie płacimy honorarium.

Dawno już nie eksponowaliśmy okazów ruchu poetyckiego, który w tym miejscu został zainspirowany i znalazł tu swoją wdzięczną trybunę. A więc „Brekoci" contra „Epigoniści": ci pierwsi tak piszą: „Pozdrowienia z obozu kondycyjnego w Górach Świętokrzyskich... Równocześnie zwracamy się z apelem do Epigonistów, by pisali jaśniej i mniej jąkająco. Chcieliśmy wykorzystać ich tekst i zrobić big-beatową szopkę, ale nic nie wyszło, a nasz Wokalista o mały włos sobie na tym tekście języka nie połamał. Przesyłamy tekst, dedykowany EPIGONISTOM." Wierszowany ów głos polemiczny nosi tytuł APOLLO POLSKIEJ POEZJI:

Apollo polskiej poezji
Co to
Nie da nikomu
I sam nie zjii.
Przemawia do starców:
„Hej, starcy
A w brzuchach
To wam nie warcy?"
A starcy oburzeni:
„Apollo zstąp na ziemię
Napisz coś swojskiego
Od ucha do ucha
Bo nam już zbrzydła
Epigonów berbelucha."
Wydął Apollo wargi pogardliwie:
„Diablać tam
Niczym już ludziów nie zadziwię".

Zadziwił nas wszelako sam Adamowszczak z Lublina, boss „Brekotów", który odważnie donosi: „Z pewnych względów, natury geopolitycznoobiektywnej, wycofuję się z mej dalszej artystycznej działalności, zamieniając pióro na szpadę. Na zakończenie przesyłam utwór o znamiennym tytule."

BRYK — AUT

Przełamał się
Czyli zrobił
Bryk — aut
Wyciągnął
Kopyta
Napis mu
Elegancki
W marmurze
Zrobiono
No i świeczki
Oczywiście
Miał
Regularnie

Czyżby znaczyło to, że tak świetnie się zapowiadająca i nie mniej znakomicie owocująca twórczość „Brekotów" nie będzie już wzbogacać skarbnicy tej rubryki?

z bocznej trybuny

W okowach ligi i klas

MECZE piłkarskie Lublin — Radom ściągały niegdyś na stadion przy ul. Okopowej tysiące widzów. Stadion znajdował się w tym miejscu, gdzie obecnie stoi gmach DOKP. Młodsze pokolenie kibiców nie pamięta tego obiektu, co nie ma znaczenia, ale nie zna również atmosfery takich spotkań sportowych, a to już wielka szkoda. Samochodów było znacznie mniej niż dziś. Radomianie przyjeżdżali pociągiem. Gospodarze witali ich z kwiatami na dworcu, odprowadzali do hotelu, na stadionie zaś, przed meczem, wygłaszano przemówienia, wręczano sobie upominki, proporce, kwiaty. Zdarzało się, że z gośćmi przyjeżdżał prezydent miasta Radomia i wówczas, ze względów kurtuazyjnych, witał go prezydent Lublina. Stadion, choć niewielki, był dość pakowny, a miasto przecież miało wtedy połowę obecnej ludności — lecz mimo to bilety zdobywało się staniem w długiej kolejce do kasy. I pomyśleć, że działo się to wszystko na meczach towarzyskich.

Radom nie był zresztą jakimś obiektem szczególnego zainteresowania kibiców lubelskich. Podobnie wyglądały mecze z Warszawą, Łodzią, Zamościem, Chełmem, a także mniejszymi miastami w rodzaju Lubartowa czy Tomaszowa Lubelskiego. I podobnie było na boksie, siatkówce, tenisie, ping-pongu.

Dziś sport jest jedną z najbardziej zinstytucjonalizowanych dziedzin życia społecznego. Jeśli nawet organizuje się czasem mecze Lublin — Radom, — Lublin — Rzeszów, czy Lublin — Chełm, to są to wyjątki, marginalia. Życiem sportowym rządzą ligi i klasy, grupy i tabele. Jest to jeden ze skutków mecenatu państwa i bogatych zakładów pracy nad ruchem sportowym. Klub, który nie bardzo wiedział jak będzie stał finansowo za kilka miesięcy, mógł pozwalać sobie tylko na krótkofalowe plany działalności. Urządzało się przeto, w miarę możności, różne mecze towarzyskie, aby tylko grać, aby czymś zapełnić sezon.

Teraz, wiedząc z góry o wysokości dotacji, można śmiało grać w ligach i klasach, bo nie grozi (a w każdym razie mało komu grozi) obawa, że zabraknie pieniędzy na wyjazd na jakieś spotkanie, czy też urządzanie zawodów na swoim boisku. Mecenat państwowy i społeczny jest niewątpliwie fundamentem osiągnięć naszego sportu, wydaje się jednak, że jest on wykorzystywany częstokroć w sposób karykaturalny. Za dużo tych lig i klas. Już nawet Towarzystwo Krzewienia Kultury Fizycznej ma swoje ligi, już nawet w tej organizacji, statutowo odżegnującej się od wyczynu, wyczyn zaczyna wysuwać się przed sport masowy. Jak można pozwolić pograć sobie do woli w ping-ponga byle fuszerowi, skoro ognisko nasze ma za 5 dni mecz ligowy? Trzeba umożliwić solidniejszy trening drużynie, która nas reprezentuje.

Wynaturzenia te widać wyraźnie przy studiowaniu poniedziałkowych rubryk sportowych w terenowej prasie codziennej. Prasa stołeczna i specjalistyczna prasa sportowa zajmują się imprezami o charakterze międzynarodowym i ogólnopolskim. Stąd są ciekawsze, żywiej redagowane, bogatsze w różne formy dziennikarskie. Gazety pozawarszawskie przemieniły swe rubryki sportowe w biuletyny statystyczne. Tyle jest tych lig i klas, lig TKKF, lig szkolnych itd., że redaktorom sportowym z trudem udaje się wykroić trochę miejsca na kilka obszerniejszych sprawozdań, a tylko wyjątkowo na komentarz czy felieton, nie mówiąc o publicystyce lub reportażu.

Co światlejsi działacze sportowi już dawno zdali sobie sprawę ze szkodliwości ligomanii. Próbuje się ją przy różnych okazjach ograniczać. Niestety, w miejsce jednej zlikwidowanej klasy, powstają dwie następne.

W tym kołowrotku pogoni za punktami walk, żeby nie spaść niżej, żeby utrzymać się, żeby awansować, brak już czasu na spotkania towarzyskie. A przecież sport miał zawsze i cele ogólniejsze; jednym z jego zadań było poznawanie przez zawodników nowych miast, nowych stadionów i nowych ludzi. Dziś, jeśli klub z Puław nie będzie należał do jednej grupy z klubem z Radomia, zawodnicy jego mogą przez lata całe jeździć np. do Chełma, a nie będą mieli okazji poznać Radomia. Groźniejszym efektem ligomanii jest jednak to, że spotkania sportowe przestały służyć nawiązywaniu przyjaźni na boiskach. Gra się coraz bardziej bezpardonowo. Coraz ostrzej. Obchodzi przepisy. Używa środków dopingujących. Kaperuje zawodników. Kto by tam witał kontrpartnerów kwiatami na dworcu, zapraszał na kawę, fundował im bilety do miejscowego teatru, oprowadzał po mieście... Chyba że jest to drużyna zagraniczna i decydują względy dyplomatyczne. Oczywiście i dziś zawiązują się na stadionach przyjaźnie trwające potem latami, jednak nie jest to już zjawisko tak powszechne jak dawniej, a w wielu dyscyplinach zmalało do postaci szczątkowych. Narciarz, który na trasie slalomu omija niepostrzeżenie, choć niechcący, bramkę, a potem sam melduje o tym sędziom, zostaje obwołany bohaterem roku. A przecież powinna to być normalna reakcja każdego zawodnika w podobnym przypadku.

Działacze klubowi niższego szczebla tłumaczą się, że wprzęgnięcie ich drużyn w tryby rozgrywek ułatwia zdobycie funduszów (jak nie dacie pieniędzy, to spadniemy na ostatnie miejsce w tabeli). A przede wszystkim umożliwia utrzymanie napięcia emocjonalnego u kibiców, czyli przysparza publiczności.

Wydaje się jednak, że rozwój telewizji będzie przekreślał te ostatnie względy. Już teraz widać to coraz wyraźniej. Po co zadawać sobie trud oglądania byle patalacha, skoro nie ruszając się z fotela można widzieć na ekranie grę I Ligi? Wprawdzie telewizor to nie to co boisko w naturze, lecz za to jaka różnica klas zawodników! Zapowiada się więc koniec ery pół i ćwierć — zawodowców z ligi okręgowych i klas A. Drużyny niższych rang dla zdobycia publiczności będą musiały spotkaniom swoim odebrać cechy walk na noże o pieniądze, a nadać więcej elementu rozrywki, dżentelmeńskiego współzawodnictwa, zabawy. Może też zaczniemy znów oglądać mecze Prasa — Artyści, Taksówkarze — Milicjanci, Radni — Inicjatywa prywatna itd. Oby!

R. W.

LUBELSZCZYZNY dzień dzisiejszy

Rok Leninowski w powiecie lubelskim

W pierwszą niedzielę marca w zakładowym Domu Kultury WSK w Świdniku odbyły się powiatowe eliminacje Turnieju Wiedzy o Leninie, zorganizowanego w ramach Roku Leninowskiego przez Muzeum Lenina w Warszawie. W powiecie lubelskim przystąpiło do turnieju około 4 tys. osób. Najliczniej reprezentowane były Piaski, Świdnik, Zemborzyce, Milejów i Łęczna; mieszkańcy tych miejscowości wykazywali też największą znajomość życia i działalności Lenina. Do eliminacji powiatowych zakwalifikowały się 34 osoby dorosłe i 67 młodzieży ze szkół podstawowych. Po pisemnym sprawdzeniu ich wiadomości do finału ustnego stanęło po 8 osób z każdej grupy. Komisja konkursowa przyznała w grupie dorosłych pierwsze miejsce Annie Misztal z Gardzienic, drugie — Wiesławowi Dziewitowi, ślusarzowi z WSK w Świdniku i trzecie — Zbigniewowi Ruchlińskiemu, uczniowi liceum z Milejowa.

Z drugą grupą jury miało niemało kłopotu, ponieważ odpowiedzi były znakomite, wykraczały poza pytania konkursowe, wykazując nie tylko encyklopedyczną znajomość dat i faktów z życia Lenina. Pierwsze miejsce zajęła Urszula Dobrzyńska, uczennica szkoły podstawowej nr 2 ze Świdnika. W dogrywkach między Andrzejem Pietrzakiem a Zbigniewem Kozakiem (obaj ze szkoły podstawowej nr 2 w Świdniku) więcej szczęścia miał Andrzej Pietrzak, który zajął drugie miejsce. Zbigniew Kozak uplasował się na trzecim.

Anna Misztal, zdobywczyni pierwszego miejsca, w nagrodę pojedzie na wycieczkę do Związku Radzieckiego, pozostali laureaci obu grup otrzymali nagrody rzeczowe. Oprawę artystyczną turnieju stanowiły powiatowe eliminacje konkursu piosenki radzieckiej, na którym drugie miejsce (pierwszego nie przyznano) uzyskała Marta Skwarzyńska z liceum w Milejowie, a trzecie duet wokalny „Echosondy" ze Świdnika. Wyróżniono zespół „Wiolinki" ze Świdnika.

Jak nas poinformował przewodniczący Zarządu Powiatowego TPPR w Lublinie Zygmunt Woś, powiat lubelski aktywnie uczestniczy w obchodach Roku Leninowskiego. Przygotowany przez Pow. Kom. FJN i Zarząd Pow. TPPR plan przewiduje udział we wszystkich ogólnopolskich imprezach organizowanych z okazji Roku. Niezależnie od tego planowane są spotkania społeczeństwa z przedstawicielami ambasady radzieckiej i delegacjami radzieckimi. Przy współudziale Powiatowego Ośrodka Propagandy Partyjnej, TWP, lektorów TPPR i nauczycielstwa prowadzi się szeroką akcję odczytową. W świetlicach, klubach „Ruchu" i Rolnika urządza się wystawy o tematyce leninowskiej. ak

Finał w Nowej Hucie

Inicjatywy artystyczne — amatorskiego ruchu teatralnego Lubelszczyzny również koncentrują się wokół zbliżającej się rocznicy Leninowskiej. Aktualnie wszystkie powiatowe domy kultury przeprowadzają eliminacje zespołów teatralnych, uczestniczących w konkursie o zasięgu ogólnopolskim, którego repertuar stosamia się z tematyka leninowską. Inspiracji lubelskiego WDK należy zawdzięczać rzeczywiście masowe uczestnictwo zespołów amatorskich w tym wartościowym i interesującym współzawodnictwie.

Konkurs daje pole popisu nie tylko młodym aktorom, ale również ludziom obdarzonym zdolnościami dramaturgiczno-inscenizacyjnymi. I tak na przykład Barbara Parobczak, pracowniczka działu artystycznego WDK opracowała dynamiczny w konstrukcji, a zarazem refleksyjny w odbiorze montaż sceniczny, związany z postacią i ideowo-rewolucyjną sferą działalności Lenina; scenariusz montażu ukazał się na łamach miesięcznika „Kultura i Ty", adresowanego m. in. do amatorów sztuki teatralnej. Zwraca przy tym uwagę szeroki zakres środków audiowizualnych oraz różnorodny charakter tekstów, wykorzystanych przez autorkę: utwory poetyckie, fragmenty reportaży i artykułów publicystycznych, cytaty z dokumentów historycznych, film i muzyka (Szostakowicza). Zresztą wszystkie zespoły teatralne, biorące udział w konkursie, opierają się w zasadzie na adaptacjach różnorakich tekstów literackich i dziennikarskich.

Ogólnopolski finał konkursu odbędzie się przy końcu kwietnia w Nowej Hucie. (K)

Przed wdrożeniem eksperymentu

W dniach 5, 6 i 18 marca Kuratorium Okręgu Szkolnego w Lublinie zorganizowało narady podinspektorów i inspektorów szkolnych, dyrektorów liceów ogólnokształcących oraz szkół zawodowych. Zaproszono też przedstawicieli Wydziału Nauki i Oświaty KW PZPR, Zarządu Okręgu Związku Nauczycielstwa Polskiego, organizacji młodzieżowych, aktywu nauczycielskiego. Kurator Tadeusz Kącki omówił następujące tematy: główne kierunki rozwoju szkolnictwa w województwie lubelskim w latach 1971—1975, aktualne zagadnienia dydaktyczno-wychowawcze i organizacyjne szkolnictwa ogólnokształcącego oraz podstawowe problemy szkolnictwa zawodowego w latach 1971—1975. Przedstawiając efekty ogólnopolskiej kursokonferencji kuratorów w Sulejówku (23—25 luty), autor pokazał również szereg konkretnych zagadnień, jakie stoją przed szkolnictwem Lubelszczyzny w związku z realizacją i upowszechnieniem zasad eksperymentu. Dyskusja dorzuciła tu wiele trafnych, praktycznych uwag.

Horror vacui A. Adamczyk

Grafika i rysunki Adeli Adamczyk, wykładowcy Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych w Lublinie, pokazane w salach BWA, zmuszają do przypomnienia charakteru jej studiów akademickich. Zarówno bowiem w miniaturowych kompozycjach kredkowych, opartych na motywach figuratywnych, jak i w dużych grafikach znać ślady edukacji na Wydziale Tkaniny Artystycznej ASP w Krakowie, który A. Adamczyk ukończyła w 1959 r. Ślady te utożsamiają się z dekoracyjnym porządkowaniem powierzchni papieru przy pomocy — najczęściej — kolistych form, położonych jedna obok drugiej, co sprawia wrażenie swoistego lęku przestrzeni (horror vacui). Wiadomo przy tym, że stylistyka tego typu rządzi również malarstwem artystki, przynosząc efekty nieco nużące, czego nie można przecież zarzucić pracom graficznym. Szczególnie interesujące wydają się być owe barwne miniatury, liryczne w nastroju, jakoś intymne rezultaty samotnej gry w kolory i linearne znaki. Artystka, która poza wspomnianym kierunkiem studiowała także malarstwo w PWSSP we Wrocławiu (dyplom w 1957 r.), wystawia stosunkowo rzadko, pochłonięta pracą dydaktyczną. Oczekujemy przecież na większą wystawę jej tkanin, do którego to gatunku — co sygnalizują 4 barwne prace, wiszące w BWA — A. Adamczyk powraca po latach. (K)

Melomani

W Domu Kultury Dzieci i Młodzieży na Zamku w Lublinie istnieje Klub Dobrej Płyty grupujący głównie młodzież klas licealnych interesującą się muzyką. Członkowie Klubu zbierają się w każdą niedzielę w zamkowej kawiarni, mają do dyspozycji dobrą aparaturę odtwórczą, słuchają utworów muzycznych z płyt wypożyczonych z płytoteki domu kultury, lub — częściej — własnych, przyniesionych z domu. Prezentowane danego dnia utwory poprzedza prelekcja przygotowana przez samych członków Klubu.

Należy podkreślić, że w programie kolejnych spotkań, równie często jak beatowa, pojawia się muzyka poważna. Na przykład na początku marca jedno ze spotkań poświęcone było życiu i twórczości Mozarta. Wprawdzie o wiele większym entuzjazmem — co zresztą było do przewidzenia — cieszyły się spotkania poświęcone Niemenowi, ale od czasów, kiedy Niemen zaczął śpiewać utwory poetyckie polskich klasyków ze szczególnym uwzględnieniem Norwida, właściwie już nie wiadomo, jakie gusta młodzieży należy pochwalać, a jakie potępiać...

Wspominając o interesującej inicjatywie Domu Kultury Dzieci i Młodzieży, chodzi nam jednak nie o stronę „muzycznej" działalności Klubu Dobrej Płyty, ale mamy na uwadze pomysł kierownictwa połączenia cotygodniowych zebrań ze spotkaniami z przedstawicielami młodszej generacji lubelskich twórców — plastyków, literatów, aktorów. Młodzież chętnie uczestniczy w takich spotkaniach i nawet — o dziwo! — zabiera głos w dyskusji. (md)

Biblioteki a prasa

Naturalnym zadaniem bibliotek publicznych jest nie tylko gromadzenie i wypożyczanie książek, ale także podstawowych dzienników i czasopism. Jest to sprawa bardzo ważna i na dziś i na jutro. Kluby „Ruchu" i Rolnika, w których jedne egzemplarze niszczy się po nadejściu następnych, oczywiście nie rozwiązują sprawy.

Tymczasem w bibliotekach gromadzkich naszego województwa dzieją się przedziwne rzeczy. Są one wynikiem nie tylko oszczędnych, ale więcej niż skąpych budżetów niektórych GRN.

Okazuje się np. że niektóre biblioteki gromadzkie w pow. krasnickim w roku ub. nie miały na ten cel ani jednego grosza, inne po 200 czy 300 zł rocznie. Przeciętnie zaś w całym powiecie wypadło po 126 zł na bibliotekę. Nie wystarczy nawet na całoroczny abonament jednego tytułu „Sztandaru Ludu". Drugim największym skąpcem okazały się gromadzkie rady narodowe w pow. lubelskim, dając na prenumeratę przeciętnie po 269 zł.

Na drugim końcu tabeli, a więc najbardziej hojny, okazał się powiat parczewski — 2489 zł przeciętnie na każdą bibliotekę. Ponad 13 razy więcej niż w pow. krasnickim, chociaż indywidualny zakup gazet i czasopism jest w tym powiecie tylko o ok. 35 proc. wyższy niż w pow. parczewskim. Na drugim miejscu od góry, chociaż w dużej odległości, plasuje się pow. biłgorajski z sumą 1470 zł. A przeciętna dla całego województwa wynosi 811 zł na bibliotekę gromadzką. (d)

W czym największy jest ambaras?

Dokończenie ze str. 1

Czarnych, TWP chce mieć punkty odczytowe, teatr chce sprzedać bilety na przedstawienie, straż chce wypożyczyć salę, tamci chcą dekorację, ci część artystyczną na akademię, owi zespół pieśni i tańca, jeszcze inni „Dni Miejscowości" itp. itd. A w powiatowym domu kultury trzech pracowników, którzy mają pomagać 47 klubom „Ruchu" i Rolnika, 32 zespołom teatralnym, 20 muzycznym, ponad 100 recytatorom oraz organizować konkursy, festiwale, przeglądy, obchody, rocznice, święta. Nieustannie poganiani do realizacji okolicznościowych zadań, kiedy mają czas na prace tzw. właściwe?

A może powiatowe domy kultury to lustra, od których powinny odbijać się promienie słoneczne? Może ta krzątanina wokół tysiąca drobnych spraw — to właśnie to?...

Ale jeśli tak, to nie należy pisać o wielkim powołaniu i roli. Czy kto widział, żeby wyrosło coś pożytecznego na zagonie, na którym posiano tysiące różnych warzyw?... Na coś się trzeba zdecydować. W kulturze też.

Nie dziwię się wcale, że w rocznych planach pracy powiatowych domów kultury mówi się o ... zakupie strojów dla zespołu tanecznego, perkusji, zorganizowaniu pięciu akademii powiatowych, wykonaniu w miarę potrzeb dekoracji okolicznościowych. Ze święcą natomiast należy szukać zamierzeń w rodzaju: aktywizacji społecznych rad klubów, przygotowania bazy materialnej placówek k-o do działalności w nowym sezonie, podniesienia kultury teatralnej w określonych środowiskach itp.

Należy — wydaje mi się — ustalić jakąś hierarchię zadań stojących przed określonymi instytucjami kulturalnymi, polegającą na wzajemnym informowaniu się o zamierzeniach, penetracji terenu i bazy. Sądzę zresztą, że po tysiąckroć zostało to już dawno stwierdzone, ale — jak wiele spraw — pozostaje bez echa.

Wielki wpływ na dobrą robotę ma aktywizacja ludzi, umiejętność pobudzania ich do działania, wyzwalanie cennych inicjatyw, nagradzanie wartościowych pomysłów, wydobywanie tkwiącego w nich potencjału wielorakich możliwości. W dużej mierze zabezpieczenie bytu wpływa na skierowanie wszystkich sił do rozwijania zainteresowań i uzdolnień.

Spróbujmy chwilę zanalizować tę prawdę. Są tacy, którzy twierdzą, że kadra powiatowych domów kultury zarabia za dużo, bezpośrednio zainteresowani myślą wręcz przeciwnie. Dodać do tego: powszechny brak mieszkań, niepewność sytuacji, zbyt wielu znawców zagadnień kulturalnych, nieokreślenie zawodowe, trudne warunki pracy, doraźność celów i okazjonalność haseł. Wszystko to powoduje nie tylko płynność kadr, ale przede wszystkim szybkie zniechęcenie, przemęczenie nieracjonalnym trybem życia, znużenie jednostajnością prac, wreszcie rezygnację z ambicji i zgodę na status quo albo całkowite przekwalifikowanie się.

A problem aktywu społecznego? Powiatowe domy kultury organizują wiele razy do roku kursokonferencje dla aktywu rad społecznych. Prawie na każdą kursokonferencję przyjeżdża kto inny. Przysyła ich ZMW, GRN, Koło Gospodyń Wiejskich.

Kursokonferencje uczą, jak zrobić imprezę w klubie. Słuchacze muszą już robić, bo nie mają kogo uczyć dalej. Na szczeblu centralnym uczy się województwo, województwo uczy powiat, powiat uczy gromady, a gromada nie ma kogo, więc albo imprezę robi albo nie. Z tego kształcenia jest może pewna korzyść, bo o pewnych zagadnieniach dowie się w ten sposób spora rzesza ludzi. Co prawda, gdyby im to napisać i wysłać, byłoby o wiele taniej, a skutek zapewne ten sam.

Niektórzy twierdzą, że powodem wszelkiego zła jest horendalny brak dyscypliny. Niewielu jednak wie, na czym ta dyscyplina ma polegać. Jeśli więc spóźnisz się trzy minuty, a trzy razy w miesiącu do pracy, dostaniesz upomnienie i na próżno wyglądasz nagrody na Dzień Działacza Kultury, choć poza tym kilkanaście razy wróciłeś o drugiej w nocy z terenu i nie liczyłeś godzin, które pochłonęły potrzeby organizacji większej imprezy. I tak jesteś pracownikiem niezdyscyplinowanym. Próżno tłumaczysz, że nie pracujesz w państwowej komunikacji, telegrafie, pogotowiu ratunkowym i kolei państwowej, gdzie od twojej punktualności zależy rytm pracy. Nikt cię nie pyta, co robisz przez następne 6 godzin 57 minut. Bądź punktualny! Sądzę, że rygorystyczne wymogi punktualności w stosunku do pracowników kultury mogą przynieść więcej szkody, niż pożytku. Nikt bowiem nie płaci za godziny nadliczbowe, niedziele i święta. Nikt nie pyta, czy nie zaplanowali oni sobie przypadkiem popołudnia na spacer, jeśli sytuacja wymaga ich obecności.

Pracownik placówki k-o powinien być zdyscyplinowany w sumiennym zaplanowaniu i realizacji zamierzeń, w konsekwencji działania, w odpowiedzialności za propagowane wartości, w pełnowartościowym wykorzystaniu dnia pracy. Musi mieć jednak tyle zaufania zwierzchnika i jego dobrej woli, by nie czuć się ograniczonym w każdym przedsięwzięciu i bezwolnym w wyborze decyzji.

Działalność kulturalna to w dużej mierze działalność twórcza, zależna od inteligencji, wyobraźni i pomysłowości pracownika i działacza. Nawet w procesie upowszechniania wartości kulturowych istnieje potrzeba wyboru najtrafniejszych, najbardziej atrakcyjnych metod, sposobów, form. Musi więc być czas na przemyślenie, analizę, eksperyment, lekturę.

Dość jednak narzekań i gderań. Wypada na koniec zacytować Wyspiańskiego: „Skoro dzieje się tak wiele, co nie zależy od nas, zróbmy coś, co by od nas zależało".

Barbara Parobczak

Krzyżówka nr 7

POZIOMO:

1. imię poety Tatr, 5. chroni szyję, 8. ziarno w ziemię, 10. jasnowłosa, 12. posiadłość portugalska w Chinach, 15. kwiat doniczkowy, 16. przekształca światło w energię, 17. malarz Kazimierza, 18. wezwanie, 20. człowiek śniegu, 21. tubylec, 24. powolny taniec hiszpański, 26. często wartościowsza niż obraz, 28. natarcie, 29. rękodzieło, 32. coś ładnego, zabawka, 33. tłuszcz roślinny, 35. zespół pracowniczy (wspak), 38. dziedzina sztuki, 39. masa wulkaniczna, 40. udają towary, 41. człowiek bezinteresowny, oddany jakiejś sprawie.

PIONOWO:

1. malarz koni, 2. stan w USA, 3. pokój, 4. zniszczone coś przez wilgoć, 5. zwierzątko z drogim futrem, 6. król z dramatu Szekspira, 7. suknia z dawnych epok, 9. renta, 11. jednostka miary oświetlenia, 12. jednostka wagi drogich kamieni, 14. główny składnik granitu, 19. grająca w Konkursie Chopinowskim, 23. technika graficzna polegająca na trawieniu miedzi, 22. wzgórze w Pradze z historyczną zabudową, 23. rosyjski dramaturg, autor „Lasu", 25. współczesny kompozytor polski, 27. kampania, 30. sprzedał starszeństwo Jakubowi, 31. obwoluta, okładka, 34. muzułmański władca, 36. „Nie rzucim ziemi", 37. wodorosty.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (Lublin, skr. poczt. 131). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy cztery nagrody w postaci bonów książkowych.

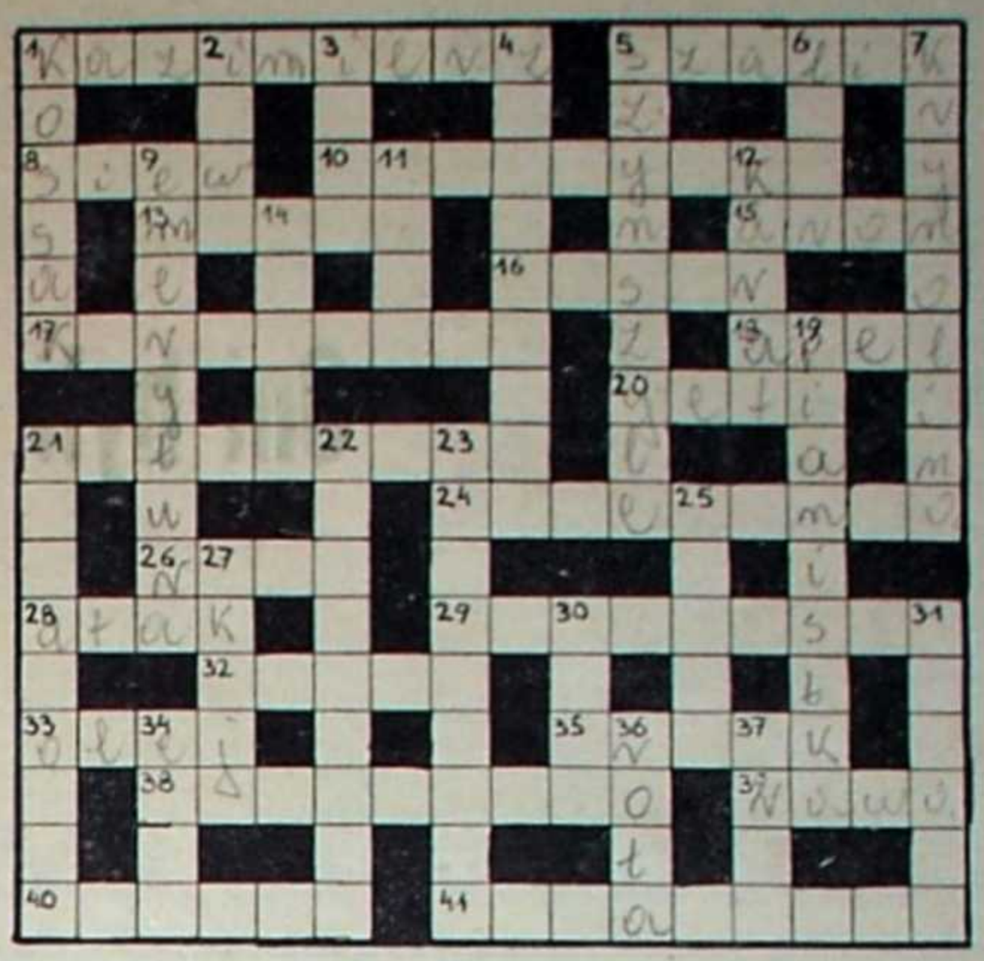

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 5

POZIOMO:
Parandowski, bank, żebro, amnestia, Noe, Renoir, wilki, Agata, amid, Nida, Cisa, nokaut, KSZO, żaba, Adam, Aron, Edward, Etna, park, Emma, inlet, opera, Kalman, nos, dromader, idole, smak, nazewnictwo.

PIONOWO:
Plon, Różewicz, Nobel, Oberin, stan, Ilni, bas, kwarantanna, moda, Erato, trasa, Idiota, Asklepiades, Iłża, Arad, nawa, krater, Amur, remanent, Wilno, rutka, pole, Koniew, epoki, Aden, mróz, sito, mak.

Za rozwiązanie krzyżówki Nr 5 nagrody wylosowali:
1. Wojciech Zawadzki, Olsztyn, ul. Zamenhofa 6/6.
2. Sabina Wasiutyńska, Biała Podlaska ul. Witorożska 63a m. 2.
3. Anna Nawrocka, Lublin, Trybunalska 21 m. 6.
4. Zbigniew Zadora, Lublin, Pawia 41

Akt – przełomowy

Dokończenie ze str. 8

widywaniom autora, w sztukę „pełnospektaklową", rozpisując monolog na głosy. Przede wszystkim podzielił uwagi i refleksje pomiędzy Autora i Reżysera. Tyle że bardzo nierównie. I tu by może było miejsce na zarzut, bo gdy się wie, kim jest autor „Aktu przerywanego", to ten Autor sceniczny, biedula (gra go Zbigniew Górski), wydaje się całkiem niewspółmiernie stremowany przed Reżyserem. Reżyser otrzymał lwią część tekstu i muszę powiedzieć, że Tadeusz Borowski, „stojąc obok roli" ściśle według wskazań nowej poetyki teatralnej, znakomicie wywiązywał się z zadania narratora, komentatora, inspicjenta, propagatora prezentowanych twierdzeń teoretycznych.

Dowcipnym wtrętem reżyserskim jest pantomima obrazująca dzień roboczy na budowie na zasadzie zabawy dziecięcej, z naśladowaniem ruchu żurawia, spychacza, taczek, następnie wypadek, któremu uległ Konstruktor, przyjazd karetki Pogotowia, „operacja" w szpitalu. Sceny egzemplifikujące rozważania autora są wesoło obegrane reprise'ami i wszelkimi efekcikami teatralnymi. Zgodnie z życzeniem Różewicza, nie narzucono jakiejś logicznej, spoistej akcji, ale zdynamizowano teatralnie z powodzeniem tę jedyną daną przez autora sytuację, polegającą na tym, że w „pokoju" za sceną leży Konstruktor z nogą w gipsie (co nie przeszkadza mu romansować z ponętną pielęgniarką), a przez pokój na scenie przechodzi jego córka, Piękna dziewczyna, opuszczająca na zawsze dom rodzicielski, by udać się do Ameryki Północnej.

Oczywiście czas sceniczny nie istnieje, znowu zgodnie ze wskazaniami autora. Podkreślają to należycie wspomniane już nawroty sytuacyjek składowych widowiska.

Wręcz wspaniała jest druga część inscenizacji. Szczególnie sparodiowanie wizji zastępu anielskiego w „teatrze surrealistycznym" (nie na darmo przyjeżdżał do Polski Bread and Puppet Theatre ze swymi kilkumetrowymi kukłami!).

No i ten dobudowany przez inscenizatora finał, oparty na motywie wygięcia się filaru w budowanym moście. Czy chce autor, czy nie chce, sytuacja dojrzała tu do momentu emocjonalnego (którego nie rozładuje podniesiony z podłogi przez Reżysera świstek).

W tej drugiej części inscenizator ze specjalną przenikliwością i zdwojoną energią twórczą podszedł do trosk autora. Są tu dwie sprawy wykraczające daleko poza polemikę teatralną. Właśnie finalna sprawa zagrożenia katastrofą i ta nieco mniejszego formatu — sprawa standaryzacji życia.

I w tym spektaklu więc ukazała się wyraźnie istota teatru Tadeusza Różewicza — głębokie zaangażowanie w kardynalnych problemach naszych czasów (wstydliwie i przekornie maskowane sarkazmem).

Wykonanie aktorskie przedstawienia — sprawne, harmonijne. Grają: Barbara Martynowicz, Zyta Połomska, Urszula Rydzewska, Roman Bartosiewicz, Tadeusz Borowski, Franciszek Brodziak, Zbigniew Górski, Maciej Polaski, Henryk Sobiechart, Piotr Suchora, Zbigniew Sztejman, Sylwester Woroniecki. Nie znajdziemy w tej koncepcji autorskiej miejsca na „kreacje". Dużo miał do powiedzenia jednak Tadeusz Borowski (w roli Reżysera), o którym była już wyżej mowa, niemało — Barbara Martynowicz zasadniczo Czerstwa kobieta, której dobrze się przysłużyło poczucie humoru (także przy przeistaczaniu się postaci), podobnie jak Zycie Połomskiej w postaci Pięknej dziewczyny, córki Konstruktora. Przekomiczny był Zbigniew Górski jako Komisarz Policji, a Piotr Suchora bawi wyczynem piosenkarskim. Oczywiście wyodrębnić też należy Pielęgniarkę (Urszula Rydzewska), która miała dużo do pokazania, szczególik inscenizacyjny wyszydzający dzisiejszych erotomanów (wszelkiego autoramentu, niekoniecznie recenzentów, jak sugeruje poeta).

Scenografia Jadwigi Pożakowskiej znakomita.

Miejmy nadzieję, że dowcipny i pomysłowy „Akt przerywany" stanie się początkiem szczęśliwej passy w Teatrze im. J. Osterwy.

Maria Bechczyc-Rudnicka

KSIĄŻKI NADESŁANE

PIW 1969

Günter Kunert, Nie tylko dla mnie. Zbiór wierszy i prozy poetyckiej pisarza niemieckiego średniej generacji. Przekład zbiorowy; wybór i wstęp Janiny Brzestowskiej. Cena — 18 zł.

Vitězslav Nezval, Cudowny czarodziej. Wybór poezji znanego pisarza czeskiego, który zmarł w 1958 roku. Przekład zbiorowy; wybór i wstęp Jacka Bałucha. Cena — 18 zł.

Wallace Stevens, Wiersze. Poezja zmarłego w 1955 roku pisarza amerykańskiego. Wybór, przekład i wstęp Jarosława Marka Rymkiewicza. Cena — 18 zł.

Pawło Tyczyna, Poezje. Wiersze zmarłego w 1967 roku pisarza ukraińskiego. Przekład zbiorowy; wybór i wstęp — Florian Nieuważny. Cena — 18 zł.

Listy do KAMENY

Ulica na miarę Lelewela?

Chrzczenie ulic nazwiskami wybitnych postaci naszej historii to zasada stara i piękna, honorująca z jednej strony zasłużoną osobę, z drugiej zaś przydając splendoru owej ulicy. W Lublinie spotkałem jednak ulicę, której wygląd, położenie, nawet zapach nie zasługują na to, aby chrzcić ją nazwiskiem wielkiego historyka i patrioty polskiego z XIX wieku — Joachima Lelewela. Uliczka ta liczy sobie 40 m długości, odchodzi w bok od ul. Kalinowszczyzna, kończąc się na bramie jakiejś posesji. Opatrzenie jej nazwiskiem Lelewela zakrawa na niesmaczny dowcip potomnych. Ciekawe, czym kierowano się w opracowywaniu tego dowcipu?

Jan Smoleński
Lublin

„Jeszcze o Waleszyńskim"

W związku z notatką pt. „Jeszcze o Waleszyńskim", zamieszczoną w nr 23 (432) „Kameny", Dyrekcja Muzeum Okręgowego w Lublinie wyjaśnia, że doceniając w pełni jego twórczość, po zorganizowaniu wystawy pośmiertnej w roku 1961 Muzeum zakupiło do swoich zbiorów wszystkie jego prace, spełniając tym swój podstawowy obowiązek.

Jeżeli w Lublinie znajduje się grono sympatyków jego twórczości, którzy zorganizują Koło Miłośników Twórczości Waleszyńskiego, to Muzeum chętnie nawiąże z nimi współpracę.

mgr Z. Ślusarski
Dyrektor Muzeum

„Bezwstyd rozpusty"

W odpowiedzi na zamieszczony w 23 numerze „Kameny" z ub. roku felieton red. MD pt. „Bezwstyd rozpusty" Wojewódzki Zarząd Kin w Lublinie wyjaśnia, co następuje:

Zamieszczone w gablotach reklamowych materiały anonsujące repertuar państwowych kin mają charakter czysto informacyjny, jak słusznie zauważa w jednym momencie autor felietonu.

„Zajawki", informujące o twórcach danego filmu i dające krótką jego charakterystykę, wykonywane są przez odpowiedzialnych za reklamę pracowników WZK. Z reguły nie mają oni okazji do zapoznania się w odpowiednio wczesnym terminie z danym filmem, nie może więc być mowy o wypowiedziach „krytyka". Jedyną podstawą do pisania w/w informacji są dwutygodniki Redakcji Wydawnictw Filmowych CWF, znane pod nazwą „Filmowy Serwis Prasowy". Te niezwykle bogate materiały wydawane są przede wszystkim dla zawodowo interesujących się produkcją filmową, którzy pragną zdobyć wiadomości o filmach mających w najbliższej przyszłości wejść do rozpowszechniania. Jest sprawą oczywistą, iż prezentowane przez FSP opinie i charakterystyki filmowe mogą nie zgadzać się z odczuciem wielu widzów. Ze swej strony przyznajemy, po obejrzeniu filmu, że „Zdobycz" jest „bardzo przeciętnym filmem" (za krytykami francuskimi).

Zgodnie z powyższym wyjaśnieniem informujemy, iż informację o filmie „Zdobycz" zaczerpnięto z FSP nr 16/709 R. 1969, ss. 33—34, 37—38. Materiał reklamowy, opracowany przez odpowiedzialnego pracownika, zawiera w cytowanym w tytule felietonu fragmencie słowo „rozkosz" (w miejsce „rozpusty"). W trakcie plastycznego wykonania informacji został więc popełniony błąd, za co niniejszym na ręce redaktora składamy uprzejme „przepraszam" — wszystkich wprowadzonych w błąd widzów, dziękując jednocześnie redakcji „Kameny" za tak głębokie zainteresowanie działalnością WZK i troskę o jak najdokładniejszą informację filmową. Informujemy też, iż wspomniana pomyłka została już naprawiona.

R. Krzyżanowski
Dyrektor

„Wieczory w hotelu"

W 5 numerze „Kameny" z bieżącego roku ukazał się felieton p. Poliwody o nieporozumieniach związanych z budową hoteli, których projektanci najwięcej miejsca przewidują na pomieszczenia kawiarniano-restauracyjne, kosztem części hotelowej. Od tej złej zasady zdarzają się równie złe odstępstwa, takie, z jakimi zetknąłem się podczas delegacyjnego pobytu w Hrubieszowie. Tamtejszy hotel posiada wielki hall, obszerną recepcję, rozległe korytarze, ale nie ma małego choćby baru czy bufetu, nie mówiąc o restauracji. Gość hotelowy nie może liczyć nawet na szklankę herbaty, a czy to taki luksus?! W przyszłych podróżach delegacyjnych będę starał się omijać to sympatyczne skądinąd miasto, bo jak, nie daj Boże, zasłabnę w pokoju hotelowym, to nawet szklanki herbaty nie dostanę.

Gustaw Mikulski
Łódź

Fotografia dzieci

Pogratulować p. Anatolowi Weczerowi (i niestety redakcji szanującego się pisma) subtelności w wyborze obiektu zdjęcia zamieszczonego w nr 3 „Kameny" z br. Już samo ustawienie dzieciaków do zdjęcia dowodzi dokonanej na nich przemocy, co zdradza reakcja malująca się na ich buziach... Ręczę..., że te 4-ro czy 5-cio letnie dzieci zapamiętają już dokonany na nich gwałt. Dziewczynka długo pewnie po tej scenie gorzko płakała; chłopczyk środkowy, zaabsorbowany widokiem aparatu, za chwilę schyli się po kamień, by cisnąć w aparat fotograficzny i jego właściciela. Mówi o tym jego zmarszczona namysłem brew.

Czyżby KAJ — gentleman był w chwili oddawania numeru do druku na urlopie?

Zofia Vogelgesang
Krasnystaw

OD REDAKCJI: Zaskoczeni dramatycznością Pani skojarzeń, biegunowo różnych od naszego wrażenia, pragniemy zwrócić uwagę, że dzieci nie patrzą w obiektyw aparatu, a tym samym jedno z nich nie może być „zaabsorbowane na chwilę widokiem aparatu" i uczynić tego, co sugeruje autorka. Zdjęcie jest reporterską migawką, niczym więcej. Równocześnie informujemy, że twórca „Kameny" KAJ od kilku lat jest na zasłużonym wypoczynku i nie ponosi żadnej odpowiedzialności za aktualną zawartość pisma. Łatwo się o tym dowiedzieć z tzw. stopki redakcyjnej.

Poszukuję zdjęć

Do zilustrowania pracy naukowej poszukuję zdjęć wykonanych w polskich zakładach fotograficznych przed pierwszą wojną światową jak: portrety, grupy, widoki, typy ludowe itd.

Szczególnie poszukiwane są zdjęcia pochodzące z: — polskich zakładów fotograficznych we Francji, jak Walery w Paryżu i inni — zakładów polskich na terenie trzech zaborów — zakładów prowadzonych przez Polaków na terenie Rosji, jak: Karol Józef Migurski w Odessie, Józef Kordysz i inni w Kijowie, Józef Chmielewski w Winnicy i Połtawie, S. Jurkowski w Witebsku, Karol Beyer w Nowochaplorsku, polskich zakładów na Syberii np. Cimlewicza, Macewicza, J. Jarzyńskiego i innych oraz polskich zakładów na Kaukazie: Wojuckiego, Engla i innych, — zakładu fotograficznego Michała Greima w Kamieńcu Podolskim (1879—1911), w szczególności wydawanych tu pocztówek z widokami Podola i typów ludowych oraz zdjęć wykonywanych na przełomie XIX i XX wieku przez jego syna Feliksa Greima i bratanka Zygmunta Greima.

Juliusz Garztecki

Warszawa 1, Królewska 27 p. 226, redakcja miesięcznika „Fotografia", skr. poczt. 169.

Listy do KAMENY

»KAMENA«

Pismo lubelskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Redaguje zespół: KONRAD BIELSKI, JERZY DOSTATNI (sekretarz redakcji), MAREK ADAM JAWORSKI (redaktor naczelny), ZYGMUNT MAŃKOWSKI, ZYGMUNT MIKULSKI — członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz: MIROSŁAW DERECKI, IRENEUSZ J. KAMIŃSKI, MACIEJ PODGÓRSKI i ROMUALD WIŚNIEWSKI. Redakcja techniczna i korekta — Alicja KRÓLIKOWSKA.

Informacji w sprawie prenumeraty udzielają placówki pocztowe i „Ruch". Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty.

Wydawca: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW PRASA, Lublin, Aleje Racławickie 1. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4.

Adres redakcji:
Lublin, ul. Narutowicza 35

Telefony: sekretariat i naczelny redaktor 235-85, sekretarz redakcji i dział publicystyki 275-35

Korespondencję zwykłą prosimy kierować pod adresem: Lublin 1, skrytka pocztowa 131; polecone i ekspresową — pod adresem redakcji.

LZGraf. Zam. 731. 11.III.70. 3.600 Z-3

Oni byli dziećmi...

Al. Leszek Gzella

Poraź, o Panie, bezwładem ręce i nogi Polaków,
Zrób z nich kaleki, poraź ich oczy ślepotą.
Tak męża jak kobietę ukarz głupotą i głuchotą.
Spraw, żeby lud polski gromadami całymi zmieniał się w popiół,
Ażeby z kobietą i z dzieckiem został zniszczony, sprzedany w niewolę.
Niech nasza noga rozdepcze ich pola zasiane!
Użycz nam nadmiernej rozkoszy mordowania dorosłych, jak też i dzieci!
Pozwól zanurzyć nasz miecz w ich ciało,
I spraw, że kraj polski w morzu krwi i zgliszczach zniszczeje.
Niemieckie serce nie da się zmiękczyć,
Zamiast pokoju, niech wojna zapanuje między oboma państwami,
A jeśli kiedyś będę się zbroił do walki na śmierć i życie,
To będę wołał umierając: Zmień, o Panie, Polskę w pustynię!

TEKST hitlerowskiej modlitwy drukowano tuż przed wojną w specjalnym wydawnictwie Rzeszy Niemieckiej. Niedługo młodzi żołnierze Wehrmachtu i oddziałów SS musieli czekać na wymodloną okazję. Zajęto Polskę i na terenach okupowanych przystąpiono do wprowadzania w życie nowych praw „Ubermenschentum".

Jak wyglądały te prawa, wiemy z tragicznych doświadczeń okupacji. Ostatnio wiedzę w tym zakresie wzbogacają dwie książki będące wspomnieniami z czasów ostatniej wojny: „Szkoła janczarów" Alojzego Twardeckiego oraz „Tropami powstańczej przesyłki" Jerzego Kasprzaka *). Choć dotyczą innych spraw, innego terenu, innych metod niemieckiego działania w Polsce, mają wiele wspólnego. Obie są dokumentami — wspomnieniami z przeżyć dzieci. Napisali je autorzy, którzy w czasie ostatniej wojny byli w wieku dziecięcym i zaledwie chłopięcym.

Twardecki opisuje skutki praktyk niemieckiego Lebensbornu. Został zgermanizowany. Wierzył, że jest synem zamordowanego przez Polaków oficera SS. Zabrany od matki z domu polskiego, po latach, jak we śnie, przypomina sobie gehennę i koszmar dni i nocy spędzonych w niemieckim sierocińcu, gdzie znieważano polskie dzieci o cechach nordyckich. Później, adoptowany przez niemiecką rodzinę, pozbawiony środowiska swojej narodowości, zapomina o latach dzieciństwa. Nie zna ani jednego polskiego słowa. Wiadomość (po wojnie) o staraniach prawowitej matki o odzyskanie praw do syna przyjmie z gniewem i szczerym oburzeniem, a przesłane zdjęcie porwie na kawałki. To tylko przypadek sprawił, że decyduje się przyjechać do Polski — chce udowodnić tej kobiecie z Polski, że nie jest jej synem i że ona myli się zgłaszając pretensje o niego. Pozostaje w Polsce na zawsze. Ale podjęcie tej decyzji nie przychodzi mu łatwo. Polakiem poczuł się znacznie później. Wtedy już wiedział, że jest synem polskiego oficera zamordowanego w 1939 roku przez hitlerowców. (...) *Wybrałem ją* (Polskę) — pisze Twardecki — *ponieważ jest moją ojczyzną, za którą moi przodkowie, a wśród nich również mój ojciec, którego pamiętam tylko z fotografii, oddali swe życie (...)*

Szkoła janczarów to wzruszająca relacja dziecka — dziś dorosłego mężczyzny. Napisana prosto, przypomina o jednej z najperfidniejszych praktyk hitlerowców — germanizacji dzieci polskich.

Książka Kasprzaka — choć koresponduje ze „Szkołą janczarów" — dotyczy innego etapu i innych doświadczeń okupacyjnych. Napisał ją powstaniec warszawski, Zawiszak, listonosz. Autor, kiedy wybuchło powstanie, był kilkunastoletnim harcerzem. Pierwsze strzały na ulicach Warszawy zastały go z dala od domu, do którego nie powrócił przez 63 bohaterskich dni. Zawiszakom — najmłodszej generacji Szarych Szeregów — przypadła w udziale organizacja poczty harcerskiej. Kasprzak był przydzielony do Rejonu (tak nazywano poszczególne punkty pocztowe) przy ul. Hożej.

Jerzy Kasprzak dokładnie opisuje dzieje swojej harcerskiej drużyny przed wybuchem powstania oraz własną działalność w czasie jego trwania. A pretekstem do spisania wspomnień stała się paczka listów powstańczych, znaleziona w 1945 r. na ulicy Warszawy. Może przebiegający pod ostrzałem listonosz został trafiony niemiecką kulą? Ponad 50 listów nie doręczono. Po ćwierćwieczu trafiły w redakcji „Świata Młodych" do rąk pracującego tam dziennikarza — Jerzego Kasprzaka. Skrzyknęli się Zawiszacy obsługujący w powstaniu rejon, do którego były kierowane listy, i postanowili odszukać adresatów lub nadawców. W części udało się. Listy doszły do adresatów lub wróciły do nadawców.

Zawarta w strofach niemieckiej modlitwy idea hitleryzmu rzuciła Alojzego Twardeckiego na poniewierkę i kształciła w nim butnego Niemca, który miał gardzić wszystkim, co polskie, a więc co jego własne, rodzime, narodowe. Los Twardeckiego dzieliły dziesiątki, setki, tysiące polskich dzieci. Ta sama idea zmusiła kilkunastoletnich chłopców do zastąpienia książki przez pistolet i granat w powstańczej Warszawie.

*) Alojzy Twardecki — Szkoła janczarów, Iskry 1969; Jerzy Kasprzak — Tropami powstańczej przesyłki, Czytelnik 1969.

MINUTA MYŚLENIA

„Kordian" w reżyserii Karin Stanek

NIE widziałem „Kordiana" w reżyserii Hanuszkiewicza, dlatego pozostałem w błogiej nieświadomości co do kolejnej inwencji tego reżysera. Czytałem coś o „unowocześnieniu", „adresowaniu do mentalności dzisiejszej młodzieży", ale adaptacje przecież zdołały już ukształtować moje przygotowanie na najgorsze. Mimo tej homeopatii nastąpił szok. Jak stwierdziłem w telewizyjnym „Pegazie", hanuszkiewiczowski Kordian stał się playboyem i część swych kwestii wyśpiewuje przez mikrofon. I że podobało się to Romanowi Szydłowskiemu, który przy umiarkowaniu na ogół swych recenzenckich kryteriów uznał widocznie pozytywne przyjęcie hanuszkiewiczowskiej dezynwoltury za coś wkrótce tak powszechnego, że czym prędzej należało pośpieszyć z własnym aplauzem.

A więc Kordian z mikrofonem przy uściech. Analogicznie — jeśli dojdzie do wystawienia — chór starców w „Dziadach" wystąpi chyba z saksofonami. Dialog Henryka z Pankracym z powodzeniem można przenieść w scenerię izby wytrzeźwień. A dlaczegóż np. Szopen z „Lata w Nohant" nie miałby sobie pod nosem nucić „Romantyczności" śpiewanej przez Joannę Rawik? Reżyser przecież powinien mieć inwencję, a ta nie polega na powtarzaniu schematów. Niewykluczone więc, że wkrótce na scenie Czepiec utnie sobie z panem Dulskim rozmówkę o przeszczepianiu serc, Przełęcki wyzna miłość Szimenie, a Puszkin wyśle sekundantów do pana Zagłoby wyzywając go na pojedynek w piciu soku pomidorowego marki „Latona". Oczywiście, oczywiście. „Kordian" się do tego nadaje świetnie. Jest wystarczająco szeroko znany, wrósł w polską tradycję teatralną, wystarczy przewrócić w nim coś „do góry nogami", a syk zaskoczenia — od czegóż wspierające reżyserską inwencję zrozumienie oryginalności u widza — wkrótce przemieni się w oklask uznania: „co za śmiałość!"

Wyśmiewamy konwencję komiksów, nie widzimy zaś czarnego na białym, że Hanuszkiewicz urządził po prostu komiks z jednego z najlepszych polskich utworów dramatycznych i z jednego z najdotkliwszych polskich dramatów. Tolerancja dla „poszukiwań", „eksperymentów", „interpretacji" jest tak wielka, że nie zauważamy, czy pod presją chwalców królewskiej nagości boimy się zauważyć, kiedy przechodzą one po prostu w sferę niedorzeczności. Ba, może na tym zresztą polega oryginalność, jeśli ma być rozumiana wyłącznie jako coś, co nie zdarza się często.

Wychodzi na plan w czymś bardzo mini dziewczyna na tle zespołu i powtarza jakąś głęboką myśl prawie niezliczoną ilość razy. Myśl zawarta jest w słowach np. „nie daleko i nie blisko" (później obdarowani jesteśmy już zupełnie odkrywczą resztą: „szukaj swojej miłości"). Przy tym oczywiście wielokrotny wygib tego rodzaju, jak by chodziło o zademonstrowanie objawów choroby świętego Wita. Po cóż — prawda, nie zanadto — zżymamy się na niską zawartość intelektualną współczesnej piosenki, skoro jest aż tak skutecznym bodźcem dla oryginalnych poszukiwań reżyserskich? Zwróćmy honor. O ileż uboższy byłby Słowacki, gdyby nie playboyska aranżacja Hanuszkiewicza.

W 10 numerze „Polityki" przeczytałem o pewnym „Bywalcu", który swą prelekcję na tematy filmowe zakończył rozbiciem kieliszka o fortepian. Ostatecznie kieliszek to trochę mniej niż przekonanie, że naszą kulturę teatralną tworzy działalność spod znaku Karin Stanek. Dlaczegóż więc notka o „Bywalcu" znalazła się w satyrycznym kąciku „Polityki", a wiadomość o inscenizacji Hanuszkiewicza w telewizyjnym „Pegazie", nie zaś na odwrót?

Odpowie chyba Niemen. On jeden wie jaki jest ten świat.

Ijon

BIG-BEAT

Komu referat?

PANIE Redaktorze! Jak się Panu podoba takie ogłoszenie: „Kto potrzebuje napisania wiersza, prośby, przemowy, referatu, żywego dziennika, noweli etc? — Sukces pewny! Dyskretnie, niedrogo redaguje Literat, Kraków, Smoleńska 23". Niestety, obawiam się, że jeśli zechce Pan napisać pod wskazany adres, odpowiedź nie nadejdzie, bowiem zacytowane ogłoszenie znalazłem w „Ilustrowanym Kuryerze Codziennym" z dnia... 23 września 1938 r.

Gdzieś kiedyś wyczytałem, że na podstawie ogłoszeń można najlepiej się zorientować, czym żyje w danym momencie kraj, który odwiedza się po raz pierwszy. Cudzoziemiec, który przyjechałby 15 marca 1970 roku do Warszawy i wziął do ręki „Życie Warszawy", odniósłby słuszne wrażenie, że w Polsce najbardziej poszukuje się na rynku pracy pomocy domowych. Trzydzieści dwa lata temu sytuacja była krańcowo inna. Na podstawie już samej lektury ogłoszeń w „IKC" można było dobierać dowoli. Proszę choćby posłuchać:

„LOKAJ — kamerdyner, kawaler, poszukuje posady, zna wszelką pracę, miejscowość obojętna. — M. Binkowski, Nakło, ul. Długa 22, Pomorze".

Zatrudniłby Pan lokaja — kamerdynera? Już go widzę w naszych M-2 czy nawet M-3...

A co wówczas ludzie sprzedawali?

„PRAWIE DARMO!! Kamienicę 2-piętrową, pierwszorzędny stan i budowa, możliwość nadbudowy, — całość wolna po kupnie, położona w przecznicy Rynku Głównego — cena 52.000, w tem pożyczka 35.000 trzydziestoletnia, dopłaty tylko 17.000..."

„KAMIENICA nowa, — trzypiętrowa (?), luksusowe wykończenie, najelegantsza dzielnica Krakowa, obok ul. Smoleńsk, dochód roczny 11.540, cena 132.000".

„FOLWARK 120 morgów, z powodu wyjazdu sprzedam za gotówkę, kompletny inwentarz, zabudowania, żniwo — 21.000 zł. Władysław Sobczak, Ostrzeszów (Poznań)".

„BROŃ, amunicja, przybory — Fryderyk Hoppen, Katowice, Mickiewicza 2. Cenniki wysyłam bezpłatnie".

Żałuje Pan, Panie Redaktorze, że nie może być kamienicznikiem? Wywaliłby Pan głupie 132 tysiące złotych i po trzynastu latach miałby Pan po tysiąc złotych miesięcznie. Żyć i nie umierać. Wiedziałby Pan zresztą z góry, co Pana czeka w przyszłości, wystarczyło bowiem skorzystać z takiego ogłoszenia:

„JASNOWIDZ Prof. Wichara powróci! — jak poprzednio opracowuje najbardziej zawiłe sprawy loterii — kradzieży — choroby — zdobycia miłości pożądanej osoby. Podaj dokładny adres, datę urodzenia — jeden złoty na porto. Bezpłatnych horoskopów nie wykonuję. Adresować: Prof. Wichara,— Kraków, skrytka 567".

A gdyby poczuł się Pan ciut, ciut nie bardzo? Natychmiast mógłby Pan odpowiedzieć na ten anons:

„PANOWIE! Pewność siebie i pełnię życia uzyska każdy, korzystając z mojego opatentowanego wynalazku. Żądajcie szczegółowego prospektu! — Pomarski, Warszawa, Warecka 15—18".

Łza się w oku kręci? Proszę nie narzekać, bo lektura ogłoszeń „Życia Warszawy" też dostarcza pewnych wzruszeń.

„POSIADAM samochód, gotówkę, wolny czas, oczekuję propozycji. Oferty: 675372, Biuro ogłoszeń, Poznańska 26".

Panie Redaktorze — proszę natychmiast proponować. Na przykład wspólny wyjazd do Bułgarii. Samochód i pieniążki są. W czasie urlopu może Pan służyć swoim towarzystwem i ewentualnie konwersacją. Samochód jest zapewne pięcioosobowy, można więc jeszcze zabrać w podróż dwie urocze panie, albo — jeśli Pan woli — trzech członków kolegium redakcyjnego „Kameny".

Przyjemnej podróży. A przedtem — wesołego jajka. Wspomniany numer „IKC" mogę Panu na święta wypożyczyć. 24 strony. Lektura na dwa dni.

Jacek

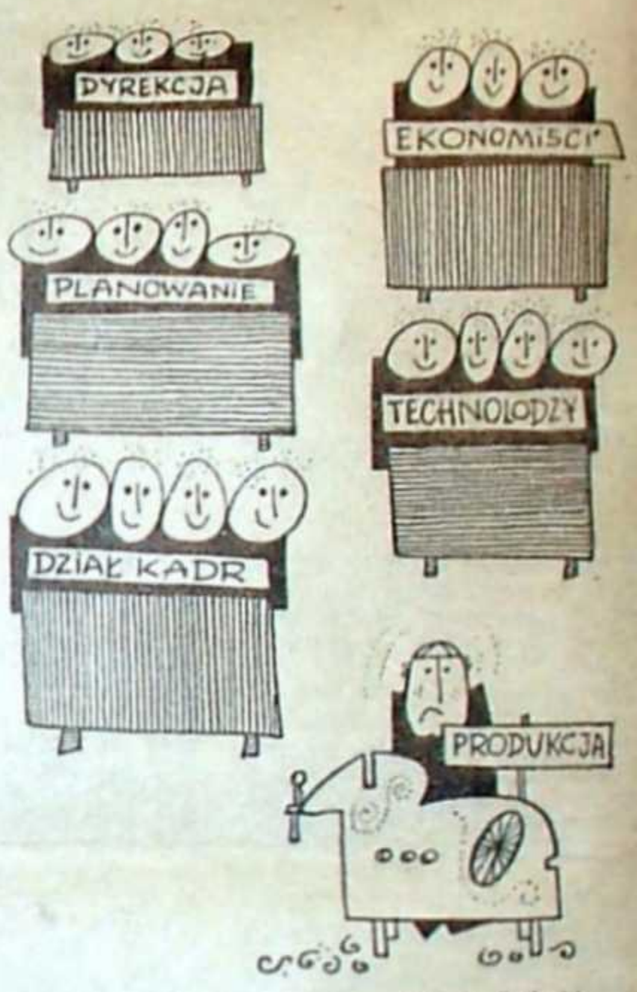

Rys. L. Szalecki

— Jak się tylko skończy transmisja meczu, to porozmawiamy na temat waszej dyscypliny w pracy.
Rys. L. Szalecki

Odpowiedzi redakcji

H. W. W RESZELU. „W jednej z książek pożyczonych od kolegi znalazłam poniższe wiersze, ponieważ podobały mi się, przepisałam na maszynie, a rękopisy oddałam jemu — był bardzo zmieszany. Gdy zapytałam, czy są jego, speszył się jeszcze bardziej i powiedział, że nie. Jestem przekonana, że autorem tych wierszy jest mój kolega, nie rozumiem tylko, dlaczego się wypiera i peszy. Uprzejmie proszę Szanowną Redakcję o parę słów oceny". Coś nam się wydaje, że to wybieg z Pani strony i że idzie o Pani własne utwory. Doświadczenia redaktorskie podsuwają nam tę niecną myśl. Nie zmienia to wszelako sytuacji, boć teksty słabe — po prostu banalne prawdy głoszą. Szczerze zmartwieni pozostajemy.

J. L. W ŁUBNIKACH. „archaniołowie /ze skrzydłami motyli" — niech będzie. „wchodzą w kwiaty — no, no. „i zasypiając/ rodzą we śnie owoce" — nie, tego już nasza wyobraźnia nie wytrzymuje, nawet jeśli zważyć, iż idzie o archaniołów — jak Pan twierdzi — odurzonych. Monstrualne historie wymyśla Pan w swoich tekstach. Więcej umiaru, człowieku (młody — zapewne)!

„AGA" W WARSZAWIE. Całkiem czarno przed Panią widzimy. Wiersze zdały nam się niezwykle naiwne, płyciutkie i — jak zwykle bywa w takich przypadkach — straszliwie sentymentalne. Niczego więc nie może uratować niby-nowoczesna wersyfikacja. Zresztą, czy takowa wersyfikacja może cokolwiek uratować? Pensjonarska sprawa się tutaj wyłania — i to kiedy, w czasach big-beatu, atomu i mini-(maksi-) spódniczek. Wybaczamy, ostatecznie, jeśli jest Pani staroświecką „nastolatką".

K. K. W GDAŃSKU. Ze stwierdzeniami zawartymi w Pańskim liście raczej się zgadzamy poza ujęciem kwestii sentymentalności. Nie zmienia to jednak postaci rzeczy, wiersze bowiem nadal słabiutkie.

„ZENEK Z LUBLINA". Nie warto.

P. Ł. W WARSZAWIE. „Kocham tę dziewczynę / miłością naiwną, nieśmiałą, / kocham sercem i duszą całą. / Kocham jej postać i twarzy minę ... / Kocham! / Kocham tę dziewczynę!" A na weselu wołać będą: słodko, słodko! Dla poezji mało stąd wynika. Oczywiście, mało by też wynikało, gdyby wołano: gorzko, gorzko!

AUTOR O OŚMIU NAZWISKACH — Z LUBLINA. Pisze Pan: „zidentyfikowaliście mnie z nie znanymi mi obywatelami: A. Walczakiem, J. Woźniakiem i Józefem Zielińskim". Jeśli to prawda, przepraszamy wyżej wymienionych obywateli, a Pan niech zostanie pięcioimienny — wedle własnego życzenia. Jednoznacznie się kłaniamy z jednoznacznymi pozdrowieniami.

W. J. W MIĘDZYBORZU. Tą metodą można wszystko wszystkim udowodnić. Weźmy na przykład takiego kanarka. Albo nie. Weźmy słowika. Wiadomo, że śpiewa w maju. Lecz jeśliby słowika upić? Wtedy opowiadanie mógłby Pan zacząć takim choćby zdankiem: „Pijane słowiki śpiewały w grudniu". Bo nigdzie nie jest powiedziane, że pijany słowik nie będzie śpiewał w grudniu.

FRASZKI

Jan Sztaudynger

UTRATA

Nic świętego tak nie boli,
jak utrata aureoli.

NIE SZUKAM

Nie szukam nowych nieodkrytych dróg...
Idąc znanymi, już nie czuję nóg.

NOTY i notki

Czasem handel, niekiedy wytwórcy zaskakiwali nas reklamą, która nie odpowiadała wartości towarów i usług. Ten obyczaj zaczyna przesiąkać i do literatury. Oto PIW wydał — ciekawą zresztą — książkę Barbary Nawrockiej pod tytułem „Trolejbusem do galaktyki". Wypada sprostować, że autorka pojechała nie trolejbusem i nie do galaktyki, ale bardziej nowoczesnymi, a w każdym razie szybszymi środkami komunikacji do Uzbekistanu i na Syberię.

Trzeba przyznać, że niezwykle asocjacje musiała wywołać lektura recenzji Stanisława Grzeleckiego w „Życiu Warszawy" (nr. 59) filmu Luisa Bunuela „Piękność dnia". Czytam więc najpierw, że „można w nim odnaleźć wykład nienowej tezy głoszącej, iż prostytucja nie jest procederem ani tym mniej nie jest występkiem, jest powołaniem" — zaraz potem wniosek ogólny: „Jest to jeden z wielkich filmów wymierzonych przeciw hipokryzji mieszczańskiej". No bo hipokryzją mieszczańską było nazywanie prostytucji procederem lub występkiem. Jeszcze trochę, a stanie się ona jedną z dziedzin sztuki.

W gdańskim klubie studenckim „Żak" odbyła się licytacyjna sprzedaż jednego egzemplarza „Ulissesa". Ceny: oficjalna 100 zł, wywoławcza 101, zapłacona — 1700 zł. Najdziwniejsze jest to, że nabywca okazał się dyplomowany ekonomista, który widocznie nie potrafił obliczyć dnia, w którym książkę można było kupić normalnie w księgarni. Może zresztą wyliczył, ale nie miał znajomości, chociaż za nadpłacone 1600 zł można sobie takie znajomości na stałe wyrobić.

„Czytać — nie czytać"? — zapytuje trzykrotnie dużymi zielonymi literami „Walka młodych" na stronie 1 (nr 11), po czym odpowiada jeszcze większymi literami: „Czytać na str. 12 — „Nihil novi". Z tej paradoksalnej reklamy wynika potwierdzenie faktu, że coraz mniej ludzi w Polsce zna łacinę. Ale lojalnie muszę dodać, że ów artykuł mówi o debiutach prozatorskich 1967 roku, co odpowiada tytułowi. I zgadzam się z wnioskiem końcowym: „W sumie niepokojącym się wydaje ten objaw nikłych ambicji artystycznych i ideowych młodych kandydatów na pisarzy".

Prawie 2 tysiące dzieci i młodzieży więcej niż w roku ub. ma przewieźć na kolonie lubelska DOKP. W związku z tym zmniejszyła liczbę specjalnych pociągów kolonijnych z astronomicznej liczby 5 do pokaźnej jeszcze liczby 3. Dlaczego tylko studenci amerykańscy mają ustanawiać światowe rekordy zaciekleństwa — po 18 w budce telefonicznej czy po 29 w maksimalnym samochodzie?

W kilku ogólnopolskich pismach czytałem ostatnio o różnych aferach i aferkach w sporcie lubelskim. Z kolei „Perspektywy" (nr 11) przypomniały sprawę koszykarza W. Kozaka, co posłużyło do sformułowania wniosku końcowego o niektórych „działaczach" z tej dziedziny: „dżentelmentów bez godności, sportowych szaltbierzy". Przykro czytać, nawet jeśli przesadzone. Nie mogę tylko zrozumieć, dlaczego działy sportowe obu naszych dzienników, mające przecież dużo więcej miejsca niż inne działy, tak rzadko i z reguły bardzo eufemistycznie piszą o tym, co się dzieje na naszym sportowym podwórku. Ostatnio np. zupełnie ucichła sprawa sportowca, który produkował się za granicą jako złodziej pospolity. Dwa oficjalne, niczego nie wyjaśniające komunikaciki — i cisza. Czy znowu będzie ją musiał przerwać ktoś z zewnątrz? „Kamena" też proponowała kierownikom działów sportowych swoje łamy — jak dotąd, bez skutku.

Okręgowe Przedsiębiorstwo Handlu Opałem we Wrocławiu albo dokonało rewelacyjnego odkrycia technicznego, albo działa wbrew podstawowym zasadom techniki i ekonomii, a także logiki. Ogłaszało bowiem w prasie centralnej, że ze składu opału w Kłodzku sprzeda 288 mb szyn kolejowych. Czyżby mieszkańcy Kłodzka zbuntowali się i nie chcą już palić stali? A swoją drogą warto jeszcze dodać, że skrót metra to tylko „m" a nie „mb" — co ma niby oznaczać „metr bieżący". Bo metry kwadratowy i sześcienny mają swoje odrębne symbole, a ta literka „b" jest jednym z niechlubnych wytworów naszej biurokracji.

JOD